

W numerze: Reportaż sprzed lat trzydziestu • Załoga „na wycugu” • Gospodarz w fabryce • Dom bez ścian • Film we włókienniczej Łodzi • Koniec z Sherlockiem Holmesem • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosy



Nr 14 (390)
11. IV. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



Fot. E. KUDAJ

MARIAN PIECHAL

siedem strof o słowikach

Wiosną w Łodzi śpiewają słowiki,
dym ni sadza, ni zgiek im nie szkodzi,
długo stroją źródlane fleciki,
zanim zaczną dzwonne i najśłodziej.

Gdy na Stokach odezwie się jeden,
w Helenowie wnet drugi i trzeci,
na Zubardziu już śpiewa ich siedem,
i tak jeden w drugim zapał nieci.

Coraz dźwięczniej i coraz ambitniej
na Rokiciu brzmi i Nowym Złotnie,
na wezwanie w Rudzie i Wiskitnie
Ksieży Młyn odpowiada stokrotnie

Niemniej głośno Widzew koncertuje
od wieczora aż po dzień błękitny.
Każda z fabryk śpiew ten transmituje
na swych maszyn melodyjne rytmy.

Prządka w hali wśród wrzeciennic czuwa,
ale słyszy: słowik... słowik wszędzie...
Nić się nutą z bawełny wysnuwa,
a bawełna w osnowę nut przędzie.

Tkacz przy krosnach nie wie, że pomiędzy
białe pasma wsnął się ptasi szczegół
i w osnowę bawełnianej przędzy
wplata wątek słowiczego śpiewu.

Takie w maju tkanie i śpiewanie.
I nikt później o tym nawet nie śni,
by mógł nosić na sobie ubranie
z barwnych włókien i słowiczych pieśni.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Dłonie na prze- dzy

W wielkiej fabrycznej hali, u
schyłku nocy, pośród monotonnego
śpiewu maszyn i pod jaskrawym
światłem lamp, kobieta o twarzy
skupionej i czujnej gra na strunach
przędzy z biegłością muzyka. Gra
tego tygodnia na trzeciej zmianie
i są to ostatnie minuty jej pracy;
już zmęczona, senna; marzy o łóżku

i szklance herbaty, o bezruchu i
ciszy.

Kobieta nazywa się Sabina Borowiak
jest przewijaczką, a jej mąż jest ślus-
szem-remontowcem, specjalistą od ma-
szyn włókienniczych. Ich siedemnastoletni
syn, uczeń jeszcze, praktykuje jako elek-
tryk w nawijalni silników; kierunek jego
specjalizacji i specyfika praktyki związa-
ne są — rzecz jasna — z włókiennictwem.

Rzecz jasna — bowiem rodzinną to tra-
dycją, bo siedemnastoletni Zbyszek Boro-
wiak to już czwarte pokolenie włóknarzy!
Jeszcze za czasów Heinla i Kunitzera
tam, gdzie stoją dzisiejsze Widzewskie
Zakłady Przemysłu Bawełnianego, a więc
w przelanej Widzewskiej Manufakturze
— walczyli o chleb pradiadkowie Zbysz-
ka i jego prababki.

Nieco później, za kadencji legendarnego
Uszera Kohna vel Oskara Kona, który po
szeregu matactw i intryg zdobył widzew-
ski tron — pracowali tam Zbyszka dziad-
kowie. Miał ich dwóch, po mieczu i ka-
dzideł: obaj byli tkaczami. W 1947 roku
ten po kadzieli umarł i — jak mawia się
w rodzinie — nie doczekał.

Babcia Zbyszka ze strony ojca — praco-
wała u Kona jako przadka; drugi rok do-
piero mija od chwili jej przejścia na re-
ntę. Druga zaś babcia — tkala; ma obecnie
siedemdziesiąt siedem lat.

Wśród widzewskich robotników kult dla
włókienniczych tradycji jest wielki a pamięć
o ludziach co tradycje te tworzyli — ży-

wa. Nie jest więc dziełem przypadku, że
rodzice Zbyszka — po wojnie, którą spe-
dzili na przymusowych robotach w Niem-
czech, po szeregu wahań i zmian miejsc
pracy — powrócili w końcu tam, gdzie na
wrzecionach i krosnach zaschły pot i krew
ich przodków: do Widzewskiej Manufak-
tury, dzisiejszych WZPB im. 1 Maja.

Nie jest dziełem przypadku i ona, Saba-
na Borowiak, kobieta o szczupłej skupio-
nej twarzy, kończąca właśnie pracę, włók-
niarka z dziada pradziada, bohaterka mego
reportażu, którą wraz z mężem i synem
pokażać chcę w przekroju jednej doby
— i ona o tym wie najlepiej. Ale mówi
na ten temat niechętnie; jest wrażliwa
a słowa czasem brzmią banalnie; nie jest
skryta ale ma swój mały, intymny świat...

Jest zmęczona, wyczerpana ośmiodzini-
nym napięciem nerwów i nieprzerwana
kontrolą stanowiska. Rece, które wiąza
zerwaną nić przędzy są szczupłe i zwinne,
ale leca już ku ziemi. Ostatnie minuty
pracy ciągną się najdłużej i kobieta twier-
dzi, że są pechowe. Znowu na trzecim
segmentcie kłębek odskoczył od bębna, zno-
wu zerwana nić. Czujnika oszukać nie
sposób — trzeba wiązać, uważać przy tym
aby supeł był mały aby nie było później
reklamacji, aby biegnik dobrze poprowa-
dził zerwaną i scaloną nić, a kłab bawełny
nawijał się równo... Kiedy trójka wraca
do produkcji — nagle — jakby na ironię
losu, niemal równocześnie odskakują od
bębnow słodemka i piatka. Potem znowu
trójka, znowu dziewiątka i dwunastka...

Wreszcie, przy pełnym rozruchu maszyn
w biegu produkcji, o godzinie piętej nad
ranem — następuje zmiana. Kobieta scho-
dzi ze stanowiska. W szatni zdejmując ro-
boczy fartuch i chustkę ochronną; prze-
czesuje wolno swoje jasne włosy. Zapala
papierosa. Jest to pierwszy papieros tego
dnia. — Podczas pracy palić nie można,
więc po ośmiodziniowej przerwie kobieta
pożąda dymu jak snu i herbaty. Spokój
i nagła cisza przywodzi znowu zmęczenie.
Odległa, ledwo wyczuwalna vibracja ma-
szyn i cichy ich śpiew zaczynają drażnić;
kobieta wkłada palto, okreca szyję szali-
kiem, wychodzi z hali i zmierza na por-
tiernie. Tu poddaje się krótkiej rewizji.

Na ulicy kładą się pierwsze cienie po-
ranka. Jest dość chłodno, ale czuć już
wiosną. Kobieta idzie do domu pieszo. Nie
ma daleko. Zaledwie kilkaset metrów.
Mieszka w osiedlu małych, jednopiętro-
wych domków, na których przedwojenny
fabrykant zarobił miliony, które z daleka
przypominają wiejskie, pokryte słomą
chaty. Osiedli takich było parę lat temu
znacznie więcej. Dziś na ich miejscu po-
wstają wielopiętrowe gmachy o szerokich
oknach i jasnych wnętrzach; chatynka, w
której mieszka kobieta, stała się zbyt-
kiem, który w najbliższym czasie zniknie
z powierzchni ziemi, bo tak chce plan
przebudowy Widzewa, bo żąda tego obec-
ny standard życiowy.

Dalszy ciąg na str. 5



Zawsze aktualny problem rozbrojenia, wobec preferowania przez Stany Zjednoczone w Wietnamie polityki siły i oręża, nabrał dodatkowego znaczenia. Nie więc dziwnego, że radziecka propozycja wznowienia prac Komitetu Rozbrojeniowego ONZ, zgłoszona na ręce U Thanta przez ambasadora Fedorenko, spotkała się z żywym zainteresowaniem opinii światowej.

Nasuwają się przy tym dwa pytania: dlaczego właśnie Komitetu Rozbrojeniowego i dlaczego w tym czasie?

Zanim odpowiemy na nie, przypomnijmy, że komitet ten powstał w 1952 roku i pierwotnie w jego pracach uczestniczyli tylko niektórzy kraje członkowskie. W 1959 roku zapadła jednak decyzja Zgromadzenia Ogólnego, by składał się on z wszystkich członków ONZ.

Ostatnie posiedzenie miało miejsce we wrześniu 1962 roku i od tej pory żaden kraj nie podejmował prób wznowienia obrad.

Radziecka inicjatywa może być więc przede wszystkim rozpatrywana pod kątem nadania dyskusji nad zagadnieniem rozbrojenia szerszych ram.

Podjęcie rozmów w tak licznych gronie może ponadto oznaczać, że o- brady komitetu przelotczą się w coś w rodzaju sesji, która – jak naszym Czytelnikom wiadomo – przerwana została do jesieni. Rzecz przy tym bardzo istotna – na posiedzeniach komitetu nie ma zastawiania słynny art. 19, który paraliżował prace XIX sesji Zgromadzenia NZ.

Komentatorzy zagraniczni – powołując się na słowa stałego przedstawiciela Związku Radzieckiego w ONZ – podkreślają, że inicjator zwołania obrad nalegać będzie na rozpatrzenie 11-punktowego memorandum, przedstawionego przez min. Gromyke w grudniu ub. roku na sesji ONZ. Nie jest jednak wykluczone, że stworzyliby to sposobność do podjęcia i innych problemów, zaprzęta- cych uwagę świata i to zarówno w toku oficjalnej dyskusji, jak i w kuluarach. Tak więc – sumując swe opinie publicyści – radziecka inicjatywa, jedna z poważniejszych od kilku miesięcy, zmierza wyraźnie do zmniejszenia napięcia międzynarodo- wego.

Stany Zjednoczone, co w pewnym sensie jest niespodzianką, podtrzy- mały tę propozycję. Jest jednak tajem- nicą polistyczna, że uczyniły to z du- żymi obawami. Zdają sobie bowiem sprawę z tego, że dyskusowanie pro- blemów rozbrojeniowych w czasie, gdy wyznaczono priorytet rozwiąza-

niom militarnym – może pogłębić i tak dużą izolację ich polityki. Coż jednak zrobić, skoro zewsząd wzma- gają się naciski na negocjowanie pro- blemu wietnamskiego, a „demonstro- wanie siły” w postaci brutalnych akcji na Demokratyczną Republikę Wietna- mu przyniosło polityczne fiasko?

Nie chciałbym wprowadzać Czytel- ników w błąd – przywódcy amery-kańscy nie rozumują jeszcze w ten sposób, chociaż np. w wypowiedziach Johnsona na ostatniej konferencji pra- sowej (zwolanej) zresztą zupełnie nie- oczekiwanie, można zaobserwować lekką zmianę tonu.

W doniesieniach agencji powta- rza się obecnie zdanie, że „ożywiona aktywność dyplomatyczna w sprawie Wietnamu, rozwijana przy milczącej aprobacie co najmniej niektórych za- interesowanych krajów, może w koń- cu, chociaż raczej niezbyt szybko, dać pozytywne rezultaty.”

Z tych akcji dyplomatycznych wy- mienimy przede wszystkim apel sze- regów rządów 17 krajów niezangażowa- nych, nawołujący do rokowań i potę- piający metody wojskowe, którego inicjatorem była Jugosławia, i pro- jektowaną podróż b. min. Gordon- Walkera do stolic niektórych krajów azjatyckich.

Od problemów światowych prze- jdemy do zachodnioeuropejskich, a właściwie jednego: nowego napię- cia w stosunkach między Bonn a Paryżem. Najpierw jednak kilka tytułów z pra- sy NRF-owskiej. Oto one: „Nowe cienie nad stosunkami z Paryżem”, „De Gaulle pozostaje twardy wobec Bonn”, „Starcie z Paryżem” itp.

Co nowego nastąpiło w pogarsza- jących się systematycznie stosunkach francusko-zachodniemieckich, że prasa NRF uderzyła w tak przygnę- białe tony?

Bezpośrednim tego powodem jest odpowiedź francuska na inicjatywę włoską zwołania w dniu 10 maja kon- ferencji ministrów 6 krajów na te- mat zachodnioeuropejskiej unii poli- tycznej. W odpowiedzi tej podkreślo- no, że rozmowy mogą być tylko wów- czas pozytywne, jeśli z góry uściślona zostanie przyszła polityka zagranic- za, wojskowa i rolno. A więc wstęp- ne warunki.

Rozwścieczyło to Bonn nie na żar- ty. Dał temu wyraz rzecznik rządu von Hase, dając wyraz prasa zachodniemiecką. Oto na przykład co pisze na ten temat „Koelnische Rund- schau”:

„Odnoś się obecnie wrażenie, że Francja gotowa jest pozostawić na lo- dzie unię polityczną, jeśli przedtem nie zapanuje jasność co do tego, że będzie ona urzeczywistniona według wielkich politycznych koncepcji fran- cuskich”.

„Sueddeutsche Zeitung” zadaje nato- miast pytanie: „Czy de Gaulle nie od- siewa od siebie „małej Europy” do czasu, kiedy jego europejski kurs wschodni nie zacznie przynosić owo- ców?”.

Jak widać – politycy bońscy mają nowy poważny kłopot.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA,
28 marca

● Rząd syryjski podpisał umowę z konsorcjum towa- rzystw francuskich w sprawie budowy największego lotniska w rejonie Bliskiego Wschodu. Lotnisko to ma powstać w pobliżu Damaszku. Umowa ta stanowi największe przedsię- wzięcie handlowe Francji na terenie Syrii od momentu u- zyskania niepodległości przez ten kraj.

● Ambasador USA w Sa- jonie Taylor, przybył do Wa- szyngtonu na rozmowy z pre- zydentem Johnsonem. Prasa zachodnia zgodnie przyznaje, że celem „konsultacji” jest uzyskanie zgody na dalsze nasilenie amerykańskich dzia- lań napastniczych przeciwko DRW.

● Prezydent de Gaulle o- strzegł Stany Zjednoczone, iż nie mogą one liczyć na po- moc Francji, jeśli sprowoku- ją konflikt z Chińską Repu- bliką Ludową.

● W ciągu najbliższych pięciu lat Rumunia dostarczy ZSRR 140 statków morskich i rzecznych.

PONIEDZIAŁEK,
29 marca

● W Wiedniu rozpoczęły się obrady międzynarodowej konferencji poświęconej pro- blemowi telewizji kolorowej. W depeszy z Wiednia agen- cja AFP donosi, iż wszystkie kraje socjalistyczne z wyjąt- kiem Albanii, wypowiedziały się w zasadzie za francuskim systemem telewizji kolorowej SECAM.

● W ChRL ukazał się czwarty tom Dzieł Chruszczo- wa. Tom zawiera 64 przemó- wienia, referaty, listy i ar- tykuły N. S. Chruszczowa o- publikowane w 1955 roku.

● Prezydent Turcji Cemal Gursel opowiedział się za na- wianiem stosunków dyploma- tycznych z Chińską Repu- bliką Ludową. Krok ten był- by dowodem nowego, niezna- leżnego kursu tureckiej poli- tyki zagranicznej.

● W Londynie podano do wiadomości, że z polecenia premiera Wilsona uda się w drugie połowie bieżącego miesiąca z wizytą do szere- gu krajów południowo-wschod- niej Azji, w tym również do Pekinu i Hanoi, b. minister spraw zagranicznych rządu brytyjskiego Gordon Walker w celu przekonania się czy istnieją podstawy dla nawią- zania rokowań w sprawie po- kojowego rozwiązania kryzy-

su wietnamskiego. Przedsta- wiciele oficjalnych kół fran- cuskich traktują misję Gor- don. Walkera jako posunię- cie zmierzające do uspokojenia brytyjskiej opinii publicznej, a szczególnie członków lewo- go skrzydła Labour Party.

WTOREK,
30 marca

● Przed gmachem amba- sady USA w Szejgonie nastą- piła eksplozja bomby podło- żonej prawdopodobnie przez partyzantów. W wyniku eks- plozji znaczna część pięcio- piętrowego gmachu ambasady została zniszczona.

„Humanite” stwierdza, że generał Taylor, który tuż po przybyciu do Waszyngtonu oświadczył, że sytuacja w południowym Wietnamie po- lepsza się coraz bardziej, do- znał szczególnie rzucającego się w oczy dementi.

● Radio fińskie wydało zakaz reklamowania turystyki do Hiszpanii. Wprowadziło ono również zakaz wszystkich audycji przedstawiających rze- czystwo hiszpańską w po- zytywnym formie.

● „Prawda” podaje kry- tyczne opinie polityków w za- kresie literatury uprawianej na łamach miesięcznika „Oktabr”. Dziennik zarzuca czasopiśmu pozostawanie na pozycji dnia wczorajszego, tendencyjność oceny zjawisk literackich, napastliwy ton publikacji krytycznych.

ŚRODA,
31 marca

● Francuskie kół gospo- darcze widać duże nadzieje z perspektywą współpracy tech- nicznej między przedsiębior- stwami francuskimi i NRD nad wspólną realizacją obiektów przemysłowych w krajach „trzeciego świa- ta”. Niektóre projekty są już obecnie w stadium dyskusji.

● W przemówieniu wygło- szonym na uroczystym przy- jęciu w Tiranie Czuu En-lai oświadczył, iż w czasie, który upłynął od jego ostatniej wizyty w tym kraju w sy- tuacji międzynarodowej na- stąpiły zmiany, których ce- cha charakterystyczna jest to, że „władze ze wschodu do- minują nad władzami z zachodu”.

● Kubański dziennik „Hoy” „Można powiedzieć bez za- dnej przesady, że każdy Ku- bańczyk pragnąłby się udać jako ochotnik na zbroczony krwią front walki w Wietna- mie... Wszyscy Kubańczycy, których ożywia to samo so- lidarne pragnienie gotowi są czekać, aż partia i rząd z Fi- delem na czele powiedzą im co należy czynić”.

● Członkowie laburzystow- skiej komisji spraw zagranic- znych wysunęli w czasie spotkania komisji żądanie, aby premier Wilson zmienił dotychczasową politykę bez- względnego popierania ame- rykańskich poczyną w Wiet- namie. Deputowani zagrozili, że w przeciwnym wypadku może dojść do wycofania przez nich poparcia dla poli- tyki rządu w Izbie Gmin.

CZWARTEK,
1 kwietnia

● 72,1 proc. obrotów w handlu zagranicznym CSRS przypadało w 1964 r. na kra- je socjalistyczne. Ubiegły rok przyniósł jednak znaczne o- żywienie wymiany handlowej CSRS z krajami kapitalistycz- nymi. W porównaniu z ro- kiem 1963 wymiana towarowa z państwami kapitalistycznymi wzrosła o 21,5 proc., a z so- cjalistycznymi – 6,4 proc.

● „Zenmizipao” publikuje artykuł na temat roli wzoro- wych gospodarstw rolnych w Chinach. Wzorowe gospodar- stwa – pisze dziennik – wprowadzają w życie myśli Mao Tse-tunga o jedności polityki i techniki.

● Obradujący w Paryżu eksperci UNESCO oświadczy- li, iż na świecie rokrocznie wydaje się na zbrojenia su- mę 150 miliardów dolarów.

PIATEK,
2 kwietnia

● Ugrupowania partyzanc- kie Wietkongu zesłali na

południe od amerykańskiej bazy w Danang trzy helikop- tery, zabijając dwóch ofic- rów amerykańskich i raniąc 14 innych Amerykanów. W akcji tej poniosło śmierć po- nad 50 spadochroniarzy połud- niowowietnamskich. Jak po- dają źródła amerykańskie, po- wyższa operacja helikoptero- wa zadala Amerykanom naj- większe straty, jakie kiedy- kolwiek poniesione zostały w tego rodzaju operacji.

● W Paryżu rozpoczęły się obrady Stałej Rady Paktu NATO. Oczekuje się, że będą się one koncentrować głów- nie wokół problemu wietna- mskiego.

● W miesięczniku Komu- nistycznej Partii W. Brytanii zamieszczony został artykuł pt. „Dzisiejszy trockizm w W. Brytanii”. W ciągu ostat- nich kilku lat – czytamy w piśmie – linia ataku trocki- stów na naszą partię uległa wyraźnej zmianie: w prze- szłości ich główny atak kon- centrował się na Związku Radzieckim, dziś kierują ca- ły ogień przeciw polityce po- kojowego współistnienia i po- kojowego przejścia do socja- lizmu.



(„Humanite Dimanche”)

● W Düsseldorfie zakoń- czyły się obrady kongresu za- chodniemieckiej CDU. U- chwalony program działania ze- szczególnością naciskiem podkreśla mocarstwowe aspi- racje NRF, jej dążenia do zdobycia pozycji pozwalającej na stawianie żądań odpowia- dających imperialistycznym planom Bonn.

● Władze NRF, Bundestag, rząd, prasa, partie polityczne uroczyście uczęty 150 roczni- cę urodzin „żelaznego kanc- lersza” Otto Bismarcka. Pa- mięć o Bismarcku – powie- dział Erhard – winna Niem- com pomóc w tym, aby nie tracili z oczu wielkiego hory- zontu historycznego (!).

SOBOTA
3 kwietnia

● Stały przedstawiciel ZSRR w ONZ ambasador Fe- dorenko wręczył sekretarzo- wi generalnemu U Thantowi pismo rządu radzieckiego do- magające się wznowienia w pierwszej połowie kwietnia br. prac Komitetu Rozbroje- niowego ONZ.

● Jak informuje agencja AFP, w ZSRR ukazała się zrewidowana wersja pierw- szego tomu 6-tomowej „Hi- storii KPZR”.

● Miesięcznik Węgierskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy zamieszcza artykuł poświęco- ny problemowi nie zawsze sprawnej informacji prasowej w WRL. Jako przykład wy- mienia się stanowisko prasy wobec faktu aresztowania pod zarzutem dokonania prze- stępstwa gospodarczych Ono- diego. Długie milczenie na ten temat – czytamy w arty- kule – zmierzało ku temu, aby nie było „sprawy”. Re- zultat okazał się wręcz prze- ciwny. Sprawa nabrała o wie- le większego rozgłosu niż na to zasługiwa. Na Węgrzech – kontynuuje pismo – społe- czeństwo jest wrażliwe na wszelkie wydarzenia. Ludzie przyzwyczaili się do tego, że polityka partii i rządu jest szczerą i jeśli napotyka na słabe strony informacji, to wówczas powstaje u nich wrażenie sprzeczności.

● Jak donosi Agencja Tan- jug, zastępca profesora lite- ratury na Uniwersytecie w Zadar, Michajłow Michajłow stanął przed sądem za opu- blikowanie w czasopiśmie „Delo” artykułu atakującego Związek Radziecki.

POLONICA

„LES LETTRES FRAN- CAISES” O WALEMIANIE BOROWCZYKU

W tygodniku „Les Let- tres Françaises” z 14-17 lutego br. ukazał się ar- tykuł o polskim twórcy fi- lmu animowanych Wale- rianie Borowczyk pt. „Un poète fantastique”.

„SALON WYTRZEZWIEŃ” W LA TABLE RONDO

W numerze 205 (za luty br.) ukazującego się w Pa- ryżu miesięcznika „La Ta- ble Ronde” została opubi- likowana recenzja książki Edmunda Niziuskiego pt.

„BEATA” ZNANA W PARYŻU

Tygodnik „La Semaine Polonaise” z dnia 21 mar- ca br. zamieszcza recen- zję z filmu „Beata”. Re- cenzyent z zachwytem pi- sze o filmie, który w nowy sposób traktuje sprawy młodzieży współczesnej. „Beata chce być szczerą

WSPÓLPRACA POLSKO- RADZIECKIEJ KINEMATO- GRAFII W OPINII RA- DZIECKIEGO KRYTYKA

Tygodnik „Sowietiskij So- luz” w swoim 3 numerze z br. publikuje reportaż W. Piszczałnikowa o pracy nad filmem „Lenin w Polsce”, do którego zdje- cia zostały niedawno za- kończone. Autor artykułu z uznaniem wyraża się o

FRANCUZI O JUBILEUSZU EWY SZELBURG-ZAREMBINY

„La Semaine Polonaise” wychodzący w Paryżu za- mieszczają w nr 12 z mar- ca br. artykuł poświęco- ny jubileuszowi XX-lecia pracy pisarskiej Ewy Szel- burg-Zarembiny. Autor ar- tykułu w wielkim skrócie

Walerian Borowczyk” pió- ra Marcel Martin. Artykuł stanowi omówienie całej dotychczasowej twórczości artysty. Wg krytyka „Twórczość Borowczyka cechuje nie tylko burli-

„Salon wytrzeźwień”. Au- tor recenzji Jean B. Ne- voux stwierdza, że powieść Niziuskiego cechuje b. cie- kawa fabuła i że sytuuje się ona na pograniczu po-

– pisze recenzent – wie- rzy w ideały, przeciwsta- wia się tzw. mądrości ży- ciowej starszych, polegają- ciej na przemilczaniu i nie- reagowaniu na wiele spraw w imię „świętego spokoju”. Ten film o młodzieży zo- stał zrobiony z dużą zna-

współpracy filmowców pol- skich i radzieckich. „Zdjęć dokonał – pisze Piszczał- nikow – znany polski operator Jan Laskowski. Ekipa wykonywała zdjęcia w Polsce w pobliżu Poron- na oraz w Nowym Tar- gu, gdzie w 1914 r. przeży-

podaje życiorys sławnej pisarki, tak pisząc: „Ewa Szelburg-Zarembina kilka- krotnie reprezentowała Zw. Literatów Polskich na Mie- dzynarodowych Kongresach Pokoju, na Zjazdach w Obronie Matki i Dzieci.

POLONICA

ska i poetyka fantastycz- nych majaków, lecz rów- nież „gorzka” i wyzwa- jąca zaduma, nad dołą człowieka”.

wieści psychologicznej i powieści społecznej. Jest to jeszcze jeden dowód więcej, że książka polska budzi coraz większe zainte- resowanie za granicą.

omością środowiska i kon- fliktów młodzieży”. Tygo- dnik zamieszcza również zdjęcie bohaterki „Beaty” – Poli Raksy. Ten sam tygodnik zamieszcza ponad- to recenzję z filmu „Pierw- szy dzień wolności”.

wał Lenin. Film został na- kreślony w związku z 95- rocznicą urodzin W. I. Lenina”. Piękne, kolorowe zdjęcia, zamieszczone na stronach tygodnika, są dobrą reklamą tego od- dawna oczekiwane filmu.

Przez wiele lat była pre- zensem Zw. Literatów Pol- skich, współorganizatorką Domów Pracy Twórczej, kuratorem fundacji B. Pru- sa. Napisała szereg opo- wiadzań, wierszy dla dzie- ci i powieści”.

Reportaż sprzed lat trzydziestu



Gdyby nie rocznik starych gazet, który sprawił, że w pamięci odżyły zapomniane sprawy i przypomniał skąd znam niskiego, milczącego i zawziętego samotnego człowieka, gdyby nie rulon starych pośliskłych gazet z roku 1935, nie mógłbym opowiedzieć tej historii robotnika z Pabianic.

„GŁOS PORANNY” Z 30 MAJA 1935 ROKU:

„Liczba bezrobotnych w Łodzi wraz z okręgiem spadła o 157 osób w ciągu ubiegłego tygodnia i wynosi 44.230 osób.

Świadkowie: Byliśmy wówczas smarkaczami, ledwie zaczynaliśmy coś rozumieć. Jedni mówili nam – Tysiak to bandyta. Inni mówili: – Co oni zrobili z tego człowieka!

ROK 1935 – WIEZIENIE ŚWIĘTOKRZYSKIE.

MOWI JOZEF TYSIAK: „Pokuto nas w kajdany, nie zakreślane na śruby, a zakuwane dzień w dzień na nitę. Wieczorem rozkuwano, przecinano te nitę, a w dzień zakuwano. Pomyślałem sobie, już chyba stąd nie wyjdę, jak za mną się ta brama zamknie. Przyleciał komisarz: „Czapki zdjąć, nie myślcie sobie! Tu jest Święty Krzyż! I nie myślcie, że kiedyś stąd wyfruniecie!” Wsadzono mnie do ciemnicy, na izolację – czternaście dni. Myślałem sobie: czy ja tu będę wiecznie siedział? Pytam się strażnika: „Proszę pana, jak ja długo tu będę siedział? A on mówi – „Jaki masz wyrok?” „Dożywotnie...” „No i cholera się pytasz? A ty wiesz, jak się tu u nas siedzi? Las mamy swój. Stolarnie mamy swoją. Grabarzy mamy swoich. Cmentarz mamy swój i parę siłków też swoich. To cię siłki wywiozą na cmentarz”. Cmentarz był w lesie, na białniku, specjalny dla więźniów tylko. Mnie to okropnie przerażało. Kiedy przeszedłem już pod opólną celę, zobaczyłem takich jak ja „szaraków”, co tam siedzieli po 12 lat, po 15 i po 10, różnie, zaraz mnie się pytają – „Ile masz?” „Dożywotnie”. Jeden mi podaje rękę, drugi, to ci, co mieli takie same wyroki, taki sam ich los spotkał jak mnie.

„Stuchajcie – mówię – ja mam jeszcze apelację... A więźniowie na to: „Jak cię tu przypięli, to już nie liczą na żadną apelację”. Ale potem dostalem pełnomocnictwa, nie pamiętam trzy, czy cztery, no i strażnik je zobaczył i mówi: „Skąd ty masz pieniądze na taką obronę?” – i mówi – „Tysia! Ty żeś tam dobre pieniądze dostał z niego, jak taką obronę tu dostajesz...” Ja mówię: „Ja nic nie dostalem, grosza nie dostalem, ja to sam z zemsty zrobiłem, za krzywdę własną”. Cieszyłem się bardzo, kiedy dostalem później listy, że robotnicy się starają. Pisali do mnie ludzie nieznanymi, robotnicy z firmy i w ogóle z Pabianic. Pisali: „Tysia! wszelkich sił dokładamy, składki idą na ciebie. O dziecko i o żonę się nie martw, są zaopatrzeni, ludzie o nich dbają”. No i pisali mi, że biorą najlepszych obrońców z Warszawy, że robi to społeczeństwo: Związek Zawodowy i ludzie z fabryki”.

Mówią świadkowie: Była pora południowej zmiany, kiedy pod bramą fabryki Krusche-Ender stanął ten chłopiec z czapką w ręku. Ktoś nam powiedział, że to syn Tysiaka. Nim zjawił się policjant, przepędził chłopca, czapka już była pełna groszaków. Na drugi dzień nie widzieliśmy pod bramą chłopaka, ale ktoś położył czapkę na bruku i robotnicy znowu rzucali do niej pieniądze.

DOKUMENTY SPRZED LAT TRZY DZIESTU:

„Polska Agencja Telegraficzna donosi z Warszawy: Pan prezydent Ignacy Mościcki powiadomiony o tragedii pabianickiej zarządził odroczenie święta sportowego w Spale”.

MOWI TYSIAK:

„Pozostałem na utrzymaniu żony. Zaczęłem się zwracać do Biura Paszportowego – tak je nazywali – to był ten urząd, gdzie leżały nasze robotnicze dokumenty. Tam wystawało moc ludzi, kobiety plakały. Pewnego razu, jeśli się nie mylę, to była niejaka Kołodziej, wypika trucizny,

otrula się. Patrzałem i myślałem sobie: „Nie, ja tak długo nie ścierpię, jakbym miał tu płakać, to bym wolał, żeby mnie ziemia zakryła”. Żona wtedy pracowała tylko 2-3 dni, trudno było wyżyć, życie rodzinne za czło mi się załamywać, żona mi nieraz wymawiała: „Ty jesteś głowa rodziny, powinienesz pracować itd.” – A cóż ja mogłem zrobić? Były przecież takie czasy, jak się zwracałem do obcych firm, to mówili: „Gdzieżście pracowali do tego czasu?” – Mówiłem: – „W firmie Krusche – Ender”. „Idźcie tam, tam wam się należy praca”.

Mówią świadkowie: Obaj Niemcy – milionerzy Krusche i Ender, to były dla nas postacie mityczne. Natomiast szwagra Endera i zarazem dyrektora jego fabryki, pana Ryszarda Kannenberga znali chyba wszyscy w Pabianicach. Była to ważna osobistość. Nawet jak jechał do fabryki,



to limuzyną albo powozem, mimo że z domu miał ledwie 200 metrów. A jak pięknie wyglądał na trybunie honorowej 3 Maja, kiedy przyjmował defilade, w mundurze oficera rezerwy, obwieszony medalami i orderami.

„PRAWDA PABIANICKA” Z CZERWCA 1935 ROKU:

„Dyrektor Kannenberg był ogólnie nienawidzony przez robotników a nawet i przez pracowników administracji. W fabryce zaprowadził system protekcyjny i donosielski. Z organizacji sportowych stworzył sobie straż ochronną, pozostającą na jego żołdzie. Wśród proletariatu jest znany jako szczególnie nie liczący się ze środkami w walce z ruchem robotniczym”.

MOWI TYSIAK:

„Spróbowałem wejść do dyrektora. Portier mnie zapisał na kartce, na jakim oddziale pracowałem, w jakim charakterze, wraca za chwilę i pokazuje, że dyrektor tę kartkę podał i wrzucił do kosza. „Powiedział, że bym tu pana więcej nie wpuszczał...” Kiedy poszedłem jeszcze raz, portier mnie nie chciał wpuścić, ale go pchnąłem i wpadłem do gabinetu. Mówię: „Proszę pana, panie dyrektore, jak to będzie z tą moją pracą?”

A on – „Kiedy rozmawiałeś ze mną, proszę wyjąć rękę z kieszeni”. Ja mówię – „Bardzo przepraszam, zapomniałem się...” Wtedy on nacisnął guzik na biurku, koło kalamarza miał taki dzwonek i od razu wbiegło dwóch wysokich mężczyzn, jeden stanął przy mnie z lewej strony, drugi z prawej. A dyrektor powiedział wtedy, że w ciągu 14 dni zostaną powiadomieni. Czekalem. Dwa tygodnie, cztery tygodnie. Sześć tygodni. Nic.

No to czekałem kilkakrotnie w Alejach, tam gdzie on mieszkał, stałem się go raz zatrzymać, kiedy szedł na obiad z biura. Ale dozorca doleciał i mnie tak pchnął w pierś i krzyczy: „Nie wolno tu dyrektora zatrzymywać!” No i Kannenberg podzwonił na komisariat. Patrzę, a tu policjant biegiem leci, pasek pod broda, dozorca wskazał na mnie, że to jest ten, co tam stoi. Policjant przyleciał do mnie i mówi: „Co za awantury?” Ja mówię na to, że nie robię żadnych awantur, że chciałem porozmawiać z dyrektorem w sprawie pracy. Wylegitymował mnie, spisał nazwisko i mówi: „Niech pan szybko

idzie do domu, bo się pan tam znajduje, gdzie pan jeszcze nie był”. Ale przecież kiedyś tak trafiałem, że spotkałem Kannenberga samego i wtedy on mnie się pyta: „Kto wyście taki?” Wtedy ja mówię: – „Jestem Tysiak”. A on: „Wont lubisz ode mnie?” „Tak?” – mówię – to ja jestem lubsz? Pan dopiero ze mnie lubuza robi...” A on: – „Takich kochaków jak ty, to ja setki robiłem i dalem sobie radę”. Wtedy ja mu wtedy powiedziałem: – „Jak marny jestem – ten sto pieruszy, to się z tobą policzę, i szykuj sobie trumnę, bo moja stoi gotowa!”

29 MAJA 1935 ROKU:

Kino Pabianickie wyświetla epkę wy film erotyczny Aleksandra Cordy pt. „Upadek Don Juana” z Douglasem Fairbanksem w roli głównej.

Polskie Radio nadało pogadanki:

„Czy warto robić zapasy na zime...” „Józef Piłsudski w debie rewolucji...”

Pisma codzienne zachęcały do zapisów na łanie wyieckie morskie okrętami linii Gdynia-Ameryka. „Oreodownik” – dziennik narodowy i katolicki donosi: „Los loteryjny krzepi i stwarza wiarę w lepsze jutro.

Franciszek Strung – nauczyciel

i Zupran w powiecie oszmiańskim wygrał 200 tys. złotych”.

A łódzki „Express” odpisywał na list czytelnika: „Nikną tylko będzie dla pana pociecha, jeśli mu odpowiemy, że nie jeden pan znalazł się w podobnej sytuacji, że wszystkim winien kryzys, który przecież wiecznie trwać nie będzie. Nedza, która podała panu szalony zmysł, może się wreszcie skończyć...”

MOWI TYSIAK:

Miałem nawet zamiar zabić żonę i dziecko, bo ona mnie mówiła, że nie chce się sama męczyć. Którejś nocy jak sobie przypominałem te słowa, stanąłem nad łóżkiem, ale synek się akurat odwrócił i mnie zrobiło się żal, myślałem sobie – po co im będę życie odbierał? Ona przecież jakoś to dziecko wychowała. Wyszedłem na dwór, że by mi te myśli przeszły, a żona się obudziła i mówi: „Czemu ty nie śpisz? Ja rano idę do pracy, a ty mi tu światło palisz i spać nie dajesz...”

Rano żona mi napisała kartkę: „Józek, jutro święto, wypastuj podłogę. Chce, żebyś chociaż mi tyle zrobił...”

Kiedy ona wyszła wówczas ustąłem, ogoliłem się, umyłem, z zeszytu do nut wydarłem kartkę i napisałem jej, że idę tam, skąd się już nigdy nie wraca.

Do miasta poszedłem jak była godzina siódma. Przed fabryką spotkałem dwóch znajomych, też bezrobotnych. Mówią – „No jak Józek, dostajesz pracę?” Powiedziałem im, że nie, ale że chcę z Kannenbergiem jeszcze raz dzisiaj rozmawiać. A oni mówią, że też czekają aż on wejdzie do biura. Jeden z nich to był dawniejszy delegat fabryczny. A ja tak sobie pomyślałem – „Wy już z nim dzisiaj rozmawiać nie będziecie...” Byłem bardzo zdenerwowany, myślałem tylko o tym, że nadchodzi godzina kiedy to wszystko się rozegra. Wszedłem do sieni, ale obok był taki ogródek restauracyjny i siedział tam kilku panów, więc myślałem jak tu to zrobić, żeby kogoś innego przypadkiem nie zabić...

PABIANICE, ŚRODA 29 MAJA 1935 ROKU, GODZINA 8.30:

MOWI TYSIAK:

Na najbliższym rogu stał słup reklamowy, przy tym słupie zacząłem strzelać do Kannenberga. Zasłonił się ręką i sięgnął po broń do tylnej kieszeni. Pomyślałem, że jego jedna kula może być celniejsza, niż moich dziesięć. Nadchodziła jakaś kobieta z mlekiem, widziałem potulzoną butelkę, i on wpadł za nią i się nią zasłonił. Tak krzyczała, że do dziś dzień jej głos słyszę...

Robotnik zastrzelił dyrektora fabryki Krusche-Ender! Zbrodniarz oddał się dobrowolnie w ręce policji! Józef Tysiak: morderca a może ofiara? Wojewoda na miejscu wypadku!

MOWI TYSIAK:

W gabinecie komisarza Grzywała było dwóch panów. Grzywała wstał i mówi do mnie – „Pan starosta i pan wojewoda!” – pewnie powiedział to po to, żeby wiedział jak ich tytułować. Jeden z tych panów zalał monokl w oko, tak dokoła mnie chodził. „Wyście katoliki?” – mówi. Do kościoła żeście chodzili?” „Ostatnio nie chodziłem”. „Dlaczego?” „Bo nie widziałem nigdzie sprawiedliwości”. „A dlaczego żeście to zrobili?” Ja mówię: „Prosiłem, błagałem, mógł mnie zrozumieć, przecież to człowiek uczony, ma szkołę, prosiłem o tę pracę, którą mi odebrał. Nie chciałem. Napili się tyle ludzkiej krwi, więc ja się jego napilem...”

PRAWDA PABIANICKA – 1 MAJA 1935 (numer skonfiskowany) Nie naszym zadaniem jest usprawiedliwiać czyn Józefa Tysiaka. W rachunku walki klasowej wiemy dobrze – nie zamordowanie dyrektora, czy zgładzenie kilku jednostek przyniesie może wyzwolenie robotnikom – ale likwidacja ustroju bezrobocia, krzywdy i głodu.

MOWI TYSIAK:

Na Świętym Krzyżu to się zaraz spytałam strażnika: „Panie, jak ja tu długo będę siedziała?” A on mówi: „Jaki wyrok macie?” „Dożywotnie”. „No i cholera się pytasz? A ty wiesz, jak się tu u nas siedzi? Las mamy swój, stolarnie mamy swoją. Grabarzy mamy swoich. Cmentarz mamy swój – siłki cię wywiozą!”

Stało się jednak inaczej: rok 1939 otworzył przed Józefem Tysakiem bramy Więzienia Świętokrzyskiego. Jeszcze 5 lat musiał czekać, by z Pabianic wyniosło się Gestapo żądne zemsty za śmierć Kannenberga. Lecz te burzliwe lata przyniosły tyle zmian, że sprawa Tysiaka poszła w niepamięć. I gdyby nie stare, pośliskłe gazety, nie przypomnielibyśmy sobie zapewne dzieł pabianickiego robotnika.

Reportaż radiowy:

WACŁAWA BILIŃSKIEGO I JANA KOŁODZIEJA

ZAŁOGA „NA WYCUGU”



Fot. W. Parys

Zakłady Przemysłu Welnianego im. Waleriana Łukasińskiego. Duży kombinat o siedmiu działach produkcyjnych. Blisko czterech milionów metrów w skali rocznej, w czym 75 proc. — na eksport. A w encyklopedii pod literą „L” czytamy: „Walerian Łukasiński (1789-1868), oficer polski, uczestnik kampanii napoleońskich, major wojsk Królestwa Polskiego, założyciel tajnego związku Wolnomularstwa Narodowego oraz Towarzystwa Patriotycznego, aresztowany w r. 1822 i zasądzony przez sąd wojenny na 9 lat twierdzy, więziony do końca życia w Sztetynie”.

Usiłuję powiązać tę tragiczną postać z łódzkim przemysłem welnianym i nie znajduję punktu zaczepienia. Chyba... jeśli powiem, że nieznomość Łukasińskiego w jakiś nieuchwytny sposób przyczyniła się jednak do powstania Polski Ludowej. Jakby nie było faktem jest, że ktoś tu, w tej naszej pozornie ahisterycznej Łodzi, spróbował odwołać się do tego bohaterskiego wzoru. Nie wiem czy słusznie, jednak pojęcie kombinatu łączyło się w mojej świadomości z jakąś kondensacją terenu — w poszczególnych działach produkcji. Toteż „wykończal-

ni” ZPW im. Łukasińskiego przy ul. Nowotki 83, szukałam na tej właśnie ulicy. Tymczasem rozumowanie moje okazało się zupełnie błędne, bowiem każdy z działów, a więc i przedział, i tkalnia i farbiarnia surowca czy tkanin gotowych, a także w grę wchodziła wykończalnia, jednym słowem każda z nich mieściła się w innym punkcie miasta. Nonsens organizacyjny? Nie podobnego, wystarczy trochę historii: pionierzy przemysłu łódzkiego nie budowali kombinatów, którzy budowali przedział, inny — tkalnię, a jeszcze ktoś trzeci — farbiarnię. I na tym jed-

nym dziale produkcji zazwyczaj poprzestawali. A ponieważ Łódź wyszła z dwóch wojen nie tknięta, więc jej dzisiejsze obiekty fabryczne to w większości autentyczne zabytki. O ich przebudowie czy rozbudowie mowy być nie może. Cnota oszczędności w tym wypadku nie zdała egzaminu: wymiary placów na których powstawały łódzkie fabryczki, wystarczały do rozbudowania doraźnie dobrych interesów, o dalszej przyszłości mało kto myślał. Nie przeciwstawiał się też, gdy tuż obok, z prawa, z lewa i z tyłu budował się ktoś inny, zagrzewając wyjście w przyszłość.

Nie zdziwiłam się też wcale mizernemu podwórku, na jakie weszłam przez tak zwaną do niedawna „celbudę” (stara nazwa portierni), by obejrzeć na własne oczy „wykończalnię” ZPW im. Łukasińskiego. Bo to właśnie o niej pisać mi wypadło.

Proszę mnie nie pomawiać o romantyzm, gdy powiem, że... no, że na tym podwórku powstało na mnie historią, historią „miasta Łodzi”, budowanej bez żadnegoładu i składu, przez przyrządowych geszefiarzy, tandetnie, ciasno, tymczasowo i bez najmniejszych ambicji. A więc: potężny komin (komin, jak wiadomo, miejsca dużo nie wymaga), jednopiętrowy budynek z przypadkowymi dobudówkami, i to wszystko. Przedwojenny właściciel tego przedsiębiorstwa zwał się ponoć Wagner. Prawdopodobnie i on, jak tyłu większych od niego fabrykantów nie prowadził oficjalnych ksiąg buchaltaryjnych, gdyż nikt tu o żadnym archiwum lat dawnych nie słyszał, w rezultacie czego wieloletnia praca samego właściciela i jego załogi nie pozostawiła po sobie żadnego śladu. O przeszłości — mówią tylko mury. To one świadczą wymownie o czasie swego powstania, o swym wieloletnim, pracowitym żywocie i wreszcie o obecnym stanie swego zużycia.

Już dwa lata temu chodziły tu jakieś komisje budowlane i behapowskie, kiwały głowami, opiniowały, gdzie trzeba — sygnalizowały, że się budynek do dalszej eksploatacji nie nadaje, że mu pora — na emeryturę. Wyższe czynniki uznały słuszność opinii rzeczoznawców, przysłały papierkę: „z dniem 31 grudnia 1964 roku — wykończalnię zlikwidować”. Nie był to wprawdzie dla dyrekcji ani dla załogi pierun z jasnego nieba, bo przecież już z dawna chmurzyło się nad nimi, ale... ludzie, jak to ludzie: tak prędko? Tak od razu? Gdy tezy zjazdowe nawołują do maksymalnego wykorzystania obiektów produkcyjnych. A co z załogą? A gdzie inna, zastępcza placówka? Przecież już i tak prawie połowę towaru posyła się do wykończalni Zakładów im. Waryńskiego i Pabianickim Zakładom Przemysłu Welnianego, co nierzadko powoduje prześrodk, jako że każdemu koszula bliższa ciała aniżeli surdut. A koszty przewożenia?

Zarówno organizacja partyjna, jak i cała załoga uznały decyzję ministerstwa za zbyt pochopną i na konferencji partyjnej dzielnicy Śródmieście — przedstawiła sprawę. Łódź-Sowińskiemu, prosząc go o interwencję u ministra — przyznać trzeba, że w rekordowym tempie, bo już w dwa tygodnie potem, nadeszła z ministerstwa zmiana decyzji, „przesuwająca termin likwidacji o cały rok, tj. do 31 grudnia 1965 roku”.

Można by zapytać, z czego się tu cieszyć. Skoro za rok sytuacja będzie taka sama, to znaczy tak czy siak wykończalnia przy ulicy Żeligowskiego zostanie zlikwidowana? Oczywiście los załogi w dalszym ciągu pozostaje pod znakiem zapytania, ale rok to chyba dość czasu, by przydzielić Zakładom im. Łukasińskiego nową wykończalnię. To zaś należy do Zjednoczenia Przemysłu Welnianego. I Zakłady im. Łukasińskiego mają już od nich taką obietnicę. Chciałyby jednak już teraz mieć coś ponadto. Po prostu konkretną decyzję, która wykończalnię otrzymała do swej wyłącznej dyspozycji. Bo chyba właśnie taka im się należy, skoro mogą się legitymować produkcją roczną około czterech milionów metrów towaru, podczas

gdy Zakładom im. Waryńskiego na przykład daleko do tej cyfry, a mimo to mają własną wykończalnię. Ta konkretna i wczesna decyzja potrzebna jest nie tylko dyrekcji Zakładów im. Łukasińskiego, ale i załodze, która dalej nie wie, co ją czeka po dniu 31 grudnia.

„Kto ma lata po temu, pójdzie na emeryturę — tłumaczy mi brygadziści, a jednocześnie sekretarz miejscowego POP, tow. Jastrząbek — ale takich dużo nie ma. Większość załogi to pracownicy starszy nie wiekiem, a stażem pracy. Pracują tu od samego początku, to znaczy od czasu jak się tylko skończyła wojna, a są też i przedwojenni. Żyli się z tym miejscem, a chociaż tak jest mizernie, nienowoczesne ani nawet zupełnie może bezpieczne, ale swoje, na pamięć znane, a nawet — nie wstydy powiedzieć — w jakimś tam sposobie — kochane”.

Czytałam niedawno o zastraszającej płynności kadr pracowniczych w NRD, jako o bardzo poważnym problemie ostatnich czasów. Pod do zmiany miejsca pracy w poszukiwaniu lepszego zarobku, czy dogodniejszych, nowocześniejszych warunków pracy, stwarza nowe zupełnie trudności, bowiem każdorazowe przysposobienie pracowników do nowego i miejsca i rodzaju pracy, odbija się na jakości produkcji, nie mówiąc już o tym, że podwyższa także jej koszty.

Podobny problem, choć może nie tak drastyczny, istnieje i u nas, dotyczy jednak chyba tylko wielkich, świeżo zbudowanych kombinatów ciężkiego przemysłu. Łódź, ze swym przemysłem włókienniczym, hołduje bardziej starostwieckim zasadom. Kto wie jednak, czy za rok za dwa nie ulegnie wpływowi czasu?

Półki to nastąpi — szanujmy naszych pracowników, przywiązanych uczuciowo do swych nawet nie najlepszych miejsc pracy i nie wyzywajmy się ich lekkomyślnie.

Warto by może wziąć to pod uwagę, chociażby w nieodczynnym wypadku konieczności zlikwidowania z dniem 31 grudnia Wykończalni ZPW im. Łukasińskiego.

FELIKS BABOL

Dyrekcja, związki, partia, rada robotnicza. Kto z nich w fabryce, o której niżej, Zakładach im. Feliksa Dzierżyńskiego jest głównym gospodarzem, kto właściwie rządzi, jak się to mówi, całą gębą? Czy może ten człowiek kierujący działem głównego energetyka i jednocześnie przewodniczący rady robotniczej, który mówi mi teraz w swoim pokoju o wszystkich blaskach kombinatu i o jego cieniach kładących się na sprawy ludzi i sprawy produkcji? Czy raczej ma może pewien aktywista fabryczny, który na pytanie, kto tu właściwie rządzi, sprawił wrażenie, jakby rozmyślał o marsjaninie i bez wahania wyrzekł: „Partia”? Jak też ustosunkować się do anegdoty, którą opowiedział mi przedstawiciel dyrekcji kombinatu:

— Co, chce pan napisać o radzie robotniczej w fabryce? Świetnie! co do mnie, chwałę sobie jej istnienie. Gdy mi czegoś nie chce załatwić główny energetyk — inż. Buda — to idę do przewodniczącego rady — inż. Budy — a ten sprawę załatwi już musi. Prezesie, mówię, rada robotnicza mi tego nie załatwi!?

* * *

Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie od razu mogli mi powiedzieć, kto tu większy. Byli co prawda skłonni przyznać, że najważniejsza jest dyrekcja, bo za wszystko odpowiada i wszystko ostatecznie podpisuje, ale przecież nawet w historii ostatniego roku zdarzył się w kombinacie wypadek, wobec którego dyrekcja była bezradna. Gdy zatwierdzano premie dla pracowników umysłowych w związku z wprowadzonym od lipca 1964 nowym regulaminem premiowania — zostało na tym, co proponowała rada, dyrekcja musiała ustąpić z własnego stanowiska. Gospodarz doszedł wtedy do głosu.

Są też inni, którzy twierdzą, że najważniejsza jest KSR. Zgoda, ale KSR to władza od święta tylko, na co dzień — w stałym kontakcie z ludźmi i maszynami,

z techniką i kłopotami, z planem i możliwościami — jest chyba tylko tych siedmiu przewodniczących oddziałowych rad robotniczych i tych kilka osób z prezydium głównej rady z inż. Budą na czele.

* * *

Trzeba z miejsca zaznaczyć, że gospodarzowi u „Dzierżyńskiego” przybyło roboty po stworzeniu kombinatu, odkąd ślady przeszłości związanej z Geyerem zmieszały się ze spuścizną po Dancyrzewie (Zakłady im. Liebknechta) i po Stolarowie (ZPB im. Szymańskiego). W rezultacie „Dzierżyński” w krajowej produkcji prze-

linii” produkcyjnej, ale i zwiaskowej. Te zebrania stały się już „małymi KSR” w fabrycznych oddziałach. Ludzie słuchają sprawozdań administracji z tego, co zostało zrobione, potem dyskutują, wskazując zło do usunięcia.

* * *

Na tych „małych KSR” rodził się też plan alternatywny załogi na najbliższą pięciolatkę. Pomysłów wpłynęło wiele, stąd też powstały tu nawet dwie wersje planu: bez nakładów inwestycyjnych ale i tak przewidująca wzrost produkcji w stosunku do tego co z grubsza nakreśliło zjednoczenie i — z

Gospodarz w fabryce

myślu bawelnianego znalazł się po wielkich potentatach — „Obrońcach Pokoju” i „Marchlewskim” — na trzecim miejscu. Zakłady, które dołączono, stały się teraz oddziałami fabrycznymi, przewodniczący rad robotniczych od „Szymańskiego” i „Liebknechta” weszli do prezydium rady robotniczej kombinatu.

Dziś więc rada ma swe czujki oddziałowe na wszystkich odcinkach. A zatem — w przedziałni odpadkowej i średnioprzędnej, w tkalniach i farbiarniach, w wykończalni i nawet w oddziale „kaliko”, produkującym znane w kraju tkaniny powlekane na potrzeby introligatorów, galanterii i motoryzacji (obięcia warszaw, syren itp.). Oddziałowe rady pilnują, aby „szło” na oddziałach i zmianach, przenoszą, jak się to mówi, uchwały własnego sztabu i KSR do sal i zespołów majsterskich. Gdy trzeba, zwolują własne narady, najczęściej o charakterze produkcyjnym.

Ale przecież ludzie gadania na ogół mają dosyć, „mowa” staje się coraz bardziej niepopularna wśród przadek i tkaczy, więc i tu, u „Dzierżyńskiego”, gdy oddziałowe rady chcą się zebrać, przyłączają do nich związki i w rezultacie co parę tygodni ludzie mają okazję nie tylko wygarnąć „po

dotychczasowymi inwestycjami, umożliwiającymi już fabryce dokonanie prawdziwego „skoku” we wzroście produkcji.

Dруга wersja planu może przynieść fabryce wzrost produkcji prawie o połowę w stosunku do roku 1964. W 1970 roku „Dzierżyński” będzie mógł dać dla kraju i na eksport około 45 milionów metrów tkanin bawelnianych. Ale, żeby do tego dojść, trzeba w fabryce wiele zmienić. A o zmianach na lepsze rada robotnicza właściwie pomyślała już w roku ubiegłym, gdy postanowiono na serio uporządkować gospodarkę fabryczną.

Zaproszono do komisji również naukowców ze Stowarzyszenia Włókienników Polskich, a nie tylko przedstawicieli z Komitetu Zakładowego, nie tylko administracji. Ekipy chodziły po salach, zaglądały do wszystkich dziur i zakamarków. Tu i ówdzie ujawniono nieporządek. Znalezione zbyt duże jak na potrzeby fabryki, zapasy barwników i chemikaliów. Część z nich z miejsca posłano na giełdę międzyzakładową. Ujawniono też luki w systemie zabezpieczeń przed kradzieżami i przed pożarami.

Ważniejsza jeszcze w skutkach batalia rozegrała się w sprawie zużycia surow-

ców. Staryszek „Dzierżyński” pracuje głównie na włókna naturalnych, a więc importowanych. W porównaniu z całym przemysłem włókienniczym zużywa się tu w produkcji tylko trzecią część włókien chemicznych stosowanych już przeciętnie w innych fabrykach. Dlatego tak doniosły stał się w oczach „prezesa” inż. Budy i całej rady problem surowcowych oszczędności. Na starych maszynach trudno jednak robić cuda, na przedziałniach i tkalniach spółkać można maszynę jeszcze z lat 1919, 1914 i 1910, ale przecież i na tych gruchotach uzyskuje się już dziś lepsze wyniki. W wyniku kontroli poprawiono proces produkcyjny, udało się zwiększyć nieco wyprzęd, zmniejszyć odpadki na oddziałach przygotowawczych i przedziałniach.

Oslabienie tych korzyści nie przyszło jednak łatwo. Rada uciekała się tu do sposobu. Ponieważ człowiek po jakimś czasie zatraca ostrość spojrzenia na to co sam robi, wśród czego się obraca — więc postanowiono ludzi kontrolerzy z wydziału A posłać kontrolować zużycie surowców na wydziale C, a z C znów posłać na B. W ten sposób wszyscy się pogodzili i nikt nie miał potem prawa rzucić na nikogo kamieniem, bo i sam nie był bez winy.

Zanim narodził się plan na lata 1968-70 gospodarz musiał również rozstrzygnąć sprawę wykończalni. Panuje na niej ciasnota, która hamuje już rozmach, ogranicza rozwój produkcji. Dochodzi do tego, że samochody fabryczne wożą surowce tkaniny z jednej strony ulicy na drugą, szukając przejściowych magazynów, potem te same drogi odbywają z powrotem lokując tkaniny w poszczególnych wydziałach wykończalni i apretur. Gdy któregoś dnia członkowie prezydium rady obserwowali te mitrige i marnotrawstwo czasu i benzyny wpadł im do głowy taki pomysł: zdobyć dla wykończalni salę teatralną.

A ta sala u „Dzierżyńskiego” to świętość niemal. Tu przed wojną była „stolownia” fabryczna, tu wieczorami dawał przedstawienia dla ludności Górniaka i Chojen Teatr Popularny z Ogródowej, tu — po wojnie już — urządzono salę zebrania dla załogi. Czy nie zaprotestuje ona gdy rada zechce w tej sali magazynować towary? Gospodarz wziął kłopoty na siebie i choć niepopularny był to chwyt, przecież postawił na swoim. Wilk — czyli potrzeby produkcji — był syty, ale i owce będa całe. Na cele zebrania, akademii i innych uroczystości rada chce przebudować klub fabryczny po drugiej stronie ulicy, tuż przy gęrowskim stawie. Będzie to trochę kosztować, ale bez nowej składalni nie można było pomyśleć o skoku we

Wzroście produkcji" jak zamierzyła sobie fabryka w swym śmiałym planie na 5-letkę.

* * *

Gdy rozmawiamy w radzie o sytuacji kombinatu, dochodzimy do wniosku, że w tym roku gospodarz może śmiało stanąć przed zarogami - użył 14 mln. zł ponadplanowej produkcji, a fundusz zakładowy do podziału wśród zatrudnionych będzie wyższy, niż w roku poprzednim. Wice na autorytetie wśród ludzi rada nie ma prawa stracić.

Ala przecież autorytet gospodarza nie może zależeć tylko od tego, co gospodarz ludziom daje. Gospodarz musi również wymagać - właśnie po to, aby rezultaty wysiłku tych 6 tysięcy ludzi od „Dzierżyńskiego” były z każdym rokiem lepsze. Wspólnie więc ze związkami, gospodarz rozkłada współzawodnictwo, a z roku na rok potrafi zapewnić coraz to większe sumy na premie dla zwycięzców (w br. rozda się ludziom 71 tys. zł nagród z tego tytułu).

Trzeba też powiedzieć, że niektóre brygady walczą bardzo ambitnie i w tej walce nawet ubi się już moment „coś za coś”, czyli współzawodnictwo za... premie. Cztery brygady, które najbardziej przejęły się misją stałego poprawiania wyników produkcyjnych otrzymały w fabryce tytuły Brygad 20-lecia. Dumnie obnoszą się z tymi tytułami ludzie z brygad.

Autorytet gospodarza rośnie więc poprzez zmieniające się na lepsze warunki wykonywania zadań, poprzez osiągnięcia brygad zaciekle współzawodniczących, ale i dzięki temu, że gospodarz wtrąca się we wszystko. Jeśli chodzi o ocenę strat poniesionych w produkcji, o ustalenie kar umownych, o ocenę usprawnień i wniosków racjonalizatorskich, przydatności maszyn (co na złom, a co jeszcze może produkować) - wszędzie rada miesza swe trzy grosze.

* * *

Opinia o gospodarzu nie może jednak zamykać się tylko w obrębie spraw dnia dzisiejszego czy wczorajszego. Gospodarzowi trzeba ufać, że i dzień jutrzejszy fabryki spędza mu sen z oczu. Właśnie dzień jutrzejszy. Inż. Buda rysuje obraz najbliższej przyszłości. Klimatu co prawda w tym rysowaniu nie ma tu najlepszy. Przez okno widać resztki nie rozebranego do końca komina starej kotłowni geyerowskiej (z której zrezygnowano parę lat temu, gdy elektrociepłownia dała fabryce parę technologiczną), widząc kompleksy starych rozrzuconych bezładnie zabudowań oddziałów-ruder, domagających się ciągłych napraw i przebudowy, co rusz wysiada to czy tamto...

- MPL daje na inwestycje - mówi „prezes” - gdy widzi natychmiastowe efekty produkcyjne. Słuszne to, ale u „Dzierżyńskiego” te zasady nie da się tak łatwo urzeczywistnić.

I „prezes” wylicza: wiele milionów trzeba by wydać, aby stworzyć jedynie lepsze warunki towarzyszące produkcji, a nie - aby uzyskać z miejsca ileś tam milionów metrów kretonu więcej. Bo najpierw wypadałoby załatwić sprawę urządzeń napędowych maszyn na oddziałach. Sytuacja bowiem jest katastrofalna. Gdy na Tkalni Nowej zdarzy się awaria jednego silnika, trzeba zarządzić postój na 16 godzin, czyli na całe dwie zmiany, bo od razu stoi cała tkalnia. Cały oddział B (czyli „Szymański”) również pracuje na napędach zespołowych a nie indywidualnych.

Dopiero inwestycje - również nie związanych bezpośrednio z metrami tkanin gotowych - domaga się sieć wodna w fabryce. Wykończalna, zwłaszcza teraz, gdy rynek krajowy i eksport czekają na tkaniny coraz ładniejsze, o coraz szlachetniejszej apreturze, powinna mieć wodę zmiekczoną czy nawet gorącą - więc na gwałt „Dzierżyńskiemu” potrzebna jest zmiekczalnia wody. I własna oczyszczalnia ścieków - za zanieczyszczanie miejskiej sieci fabryka płaci pół miliona zł rocznie, niezbędna jest rozbudowa podstacji elektrycznych na terenie zakładów, bo istniejące już nie nadążają za potrzebami - gdy coraz to uruchamia się nowe urządzenia i maszyny fabryka „dusi się” z mocą.

Ala najbardziej skutecznie spędza sen z oczu gospodarzowi sprawa modernizacji. A przecież wydawało się już ostatnio, że wreszcie ruszy ona z miejsca. Praca nad projektem trwała lata, gdy zaś projekt zapieczętowany na ostatni guzik, okazało się, że jest już... przestarzały. Bo nagle miasto zrezygnowało z przebudowy i poszerzenia ulicy Wólczańskiej, do której przylegają oddziały fabryczne, a te zamieszły miasta były uwzględnione w starym projekcie przebudowy zakładów i ich unowocześnienia. Teraz więc projekty lokalizacji wydziałów przylegających do ulicy są już nierealne - o modernizacji „Dzierżyńskiego” trzeba myśleć od początku. A to myślenie i ten nowy projekt znów zabiorą dwa-trzy lata.

* * *

Wychodziłem już z fabryki a tamtyś nie dawała mi spokoju: u „Dzierżyńskiego”, jak chyba w żadnej innej fabryce przemysłu włókienniczego, radę robotniczą czekała wyjątkowo ciężkie próby. Bo to nie tylko - dał ludziom coraz wyższą „trzynastkę”, nie tylko gimnastykę się przed MPL, które za każdy milion wpakowany w fabrykę chce tytuł i tytuł milionów metrów nowej produkcji, ale i walka z czasem niszczącym starą zakładową, pogłębiającym ślady geyerowskiej przeszłości. Tak, ten okres dzielący fabrykę od rozpoczęcia zasadniczych robót przy unowocześnianiu „Dzierżyńskiego” z pewnością będzie najtrudniejszy. Czy inż. Buda i jego pomocnicy z oddziałów znajdują w sobie dostateczny ładunek hartu i energii?

FELIKS BABOL

Dłonie na przędz

Dalszy ciąg ze str. 1

O godzinie piątej trzydziści Sabina Borowiak siada przy stole w małym ciastnawym pokójku o ścianach pełnych pamiątkowych fotografii, o maleńkich, pomalowanych na zielono oknach i pulapie wiszącym nisko nad głową. To mieszkanie jest niewygodne, zima chłodne, latem wilgotne; bez kanalizacji i bez wody, którą trzeba donosić z podwórka... Ale ona tu się rodziła. Tu stawiała pierwsze kroki, wymawiała pierwsze słowa. Patrzy więc na wale ściany bez nienawiści, z sympatią, z pewną dozą zrozumiałej tliwłości. Jeszcze dwa, trzy lata i dom w którym mieszka, rozpadnie się w gruzy. I Borowiakowie zamieszkają w blokach, gdzie wspomnienie po małym, niewygodnym domostwie zatrze się z czasem... I z czasem wróci. Natrętnie, Wyraźnie. Świeże jak dzieciństwo. Kobieta wie już teraz, że tak będzie, teraz, gdy drobnymi lykami pije gorącą herbatę, którą troskliwie podsunął jej mąż.

Tadeusz Borowiak, głowa rodziny, trzydziestodwuletni, postawny mężczyzna - budzi się, bez pomocy zegarka, punktualnie o piątej nad ranem. „Przeszedłem swoje” - powiada. Pokazuje często znajomym niemiecką kartę pracy. - To nerwy nie dają spać. Podczas wojny nie byłem człowiekiem. Byłem numerem 288. Byłem dla Niemców czymś gorszym od psa i myślę, że to przeszkadza mi spać. Ale nie czuję się źle. Gdybym jeszcze potrafił zapomnieć...”

Tadeusz Borowiak czeka na żonę ze śniadaniem. Gest ten nie zawiera cech wspaniałomyślności. Nie jest też dowodem zniewieściałości. To coś najzupełniej normalnego; coś, czego ten, co wraca z cięż-

sa innego zdania. Wiedzą, że chłopak jest zdolny, że powinien się kształcić, specjalizować... Wiedzą, że za parę lat, gdyby teraz mu „popuścili”, miałby do nich żal. I zapewne dobrze „wiedzą”, a on, zapewne, niedługo to zrozumie. - W każdym razie rodzice i przełożeni, którym edukacja Zbyszka bardzo leży na sercu, mają tę cichą nadzieję.

O jedenastej chłopak wyjmując z kieszeni pajdę chleba z kielbasą i zjada z apetytem wilka. Po drugim śniadaniu czas mija nieco wolniej, tak przynajmniej zdaje się Zbyszkowi, którego myśli z uporem, acz wbrew woli, coraz częściej krążą wokół szkoły. Historia, dwie godziny fizyki, język polski - plan zajęć nie przedstawia się najlepiej: było jakieś wypracowanie... trzeba będzie coś napisać...

Kiedy czas dociera do południa „szef” poklepał chłopca po ramieniu. - Szoruj, bracie, do chalupy - rzekł. - Papu czeka.

I Zbysz rusza do chalupy. Co ma robić. Na portierni podnosi do góry swe szczuple ramiona i ręce fabrycznego cerbera przesuwają się po nim - od piersi aż po uda; oczywiście chłopak przedziera w spodniach nie wynosi; cerber zna go dobrze i lubi, i z pewnością wierzy, że chłopak przedziera i drutu nie wynosi w spodniach ani pod koszulą, ale rytuał jest rytuałem - każdy mu się poddaje: bez gadania!

I idzie Zbyszek jasna od słońca ulica. Ulica jest jasna a ziemia - czarna. Wszędzie wiosenne roztopy. Tu i tam trochę błota, ale jędnie już suche; na jezdniach kurz.

- Cześć - mówi do Zbyszka kolega. - Gdzie posuwasz?

- Do domu - mówi Zbyszek.

- W domu ludzie umierają - mówi tam ten; i się śmieje. - Chodź lepiej do kina.

- Nie da rady - mówi Zbyszek. - Szkoła.

- Szkoła nie zajac...

Wiele pokus czeka na chłopaka: mecz, dziewczyna, film, grono rówieśnych rozpalonych wiosną... By nie ulec, trzeba silnej woli.

O dwunastej trzydziści Zbyszek wchodzi do domu; wprost na obiad. Mama chłopca już od jedenastej jest na nosach; mama nigdy nie zawodzi: wice posilek czeka już na stole. To co chłopak lubi najbardziej: rosół i zawiłki z wolowiny. Znika to wszystko w tempie niesłychanym i matka się cieszy. Patrzy na jedynaka z dumą. Przerósł wzrostem ojca. Jest szczupły ale zdrowy. Bardziej chyba podobny do niej niż do męża.

Matka nie byłaby matka gdyby trochę nie pomarudziła: zaczyna wypytwać. O szkole, stopnie, rozkład zajęć. Chłopak



kiej pracy, ma prawo oczekiwać od bliskich. Ten, co przed chwilą wrócił z pracy jest nietykalny, nie podlega krytyce; wolno mu zrywać się i grymasić. Tak jest przynajmniej u Borowiaków i myślę, że to bardzo piękne.

Toteż mama i żona w jednej osobie - idzie spać i od tej pory akcja kieruje Tadeusz. On sypie sobie i synowi walcówkę; on, gdy wybije szósta piętnaście, budzi delikatnie chłopca i podaje mu śniadanie.

Zbyszek wstaje niechętnie, z ociąganiem, z niejasną nadzieją, że coś się zmieni i wróci jeszcze do łóżka. W tym wieku ze snem rozstać się trudno; nie pomaga nawet zimny tusz. Dopiero po wyjściu z domu, w trakcie szybkiego marszu ul. Armii Czerwonej, którego tempo narzuca ojciec - Zbyszek zrzuca z siebie jego resztki. Szybko wraca mu humor i werva, staje się rozmowny, kłóci energię.

Ojciec z synem mineli portiernię i drogę ich musza się rozdzielić. Senior idzie na oddział remontowy, młodszy zaś - na nawijalnę.

- Cześć - mówi senior i uśmiecha się do syna.

- Cześć - mówi junior. - Jest dumny, że ojciec żegna go w ten sposób. Jest bardzo dumny kiedy słyszy to: „cześć” - czuje się dorosłym mężczyzną.

Punktualnie o siódmej dwaj Borowiakowie zaczynają pracę. Przebrany w roboczy kombinizon Zbyszek bierze się do swych silników i czas leci mu teraz szybko, znacznie szybciej niż w szkole. Gdyby zależało to od niego, już dawno zerwałby z budą i zaczął pracować na pełnym etacie. Miałby wówczas więcej pieniędzy i więcej wolnego czasu, matematyka, fizyka i chemia przestałyby straszyć go nocech i w ogóle... Ale niestety, ojciec z matką, ba... nawet przełożeni Zbyszka z Zakładów -

niewiele się złości; drażni go matczyzna mowa, irytuje. Lecz przychodzi też refleksje (do czego nigdy by się nie przystał), przypomina o wypracowaniu, o nieszczej, niedrobionej pracy z polskiego.

Miedzy godziną 13.20, a 14 matka krzając się w maciupkiej kuchence gotując obiad dla męża, Zbyszka zaś śleczy w pokoju nad szkolnym zeszytem. Streścić poemat romantyczny nie jest znowu tak łatwo. Trzeba trochę pomedytować, zająć do książki i notatek. W końcu stawia ostatnią kropkę i Słowackiego ma z głowy. Oddycha z ulgą; o szkole myśli teraz z mniejszą niechęcią, bez leku. - Jakos to będzie.

O 14 matka wyszła z domu mówiąc coś przedtem, ale chłopak nie bardzo uważał. Chłonie oczami ostatni „Przegląd Sportowy”. Czyta się to pismo: trudno ukryć - Hokejowe Mistrzostwa Świata, wiosenne derby piłkarzy, koszykówka... Z zadumy brutalnie wyrzyna Zbyszka odgłos syzycejącej na kuchence wody. No tak, teraz sobie przypomina: kartofle. „Gdybym za pięć minut nie wróciła - odstaw” - mówiła matka. Odstawił po piętnastu; wody w garnku prawie nie ma, więc chłopak, z miną niewiniątka, dolewa parę kropel. Niezupełnie świadom co z tego wyniknie.

O 14.25 gospodyni wraca. W nylonowej siatce przyniosła herbatę, kawalek boczk i parę jaj, które ostrożnie wyklada na stół. Zagląda w garnki i w zakłopotane oczy Zbyszka.

- Ty draniu - mówi; ale bez wielkiej złości. - Wiedziałam, że tak będzie.

Zbyszek udaje teraz duży pośpiech. - Spóźni się - mówi. - Pakuje teczkę i przemijka chytrze za plecami kobiety, która oszukuje nie sposób.

- I prosto ze szkoły do domu! - słyszy jeszcze zza drzwi. Wypada na ulicę i pędem zdąża do tramwaju. Ma daleko. Jest

uczniem drugiej klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej dla Pracujących mieszczącej się przy ul. Nowotki.

Kiedy Zbyszek zbliża się do szkoły, ojciec jego ma już za sobą kawał ciężkiej roboty. Wraz z brygadziastą odpowiedzialnym za wykonanie napraw remontowej maszyny skreślalni. Przegląd techniczny zaczęli od głowicy, która jest sercem warsztatu i która przed południem mieli już w częściach. Później, po krótkiej pauzie na posiłek, wzięli się do wymiany sworzni, kół zębatach, łożysk. Po dopasowaniu tych części brygadziasta zajął się regeneracją wałków. Tadeusz Borowiak zaś - kalibrowaniem wrzecion.

I dochodzi godzina trzecia. Twarze mężczyzn są zmęczone. Jest duszno, upalnie, maszyny grają głośno i rytmicznie. Tadeusz ociera z czoła pot. Jak dobrze pójdzie - myśli - próbe techniczną zrobimy pojutrze. I weźmiemy się do następnej „szuki”, ta zaś momentalnie wejdzie do produkcji.

Borowiak żegna brygadziastę wkładając cywilne ciuchy, przechodzi przez portiernię i wiosennym słońcem wita go ulica. Borowiak cieszy się wiosną. Jest sedzia piłkarskim. Sezon tuż, tuż. Z niecierpliwością myśli o pierwszym spotkaniu. W drodze do domu zaczyna rozmyślać dni, w których wybiegał na boisko jako piłkarz, jako stoper - środkowy pomocnik, filar drużoligowej drużyny Widzewa. To były czasy! Kiedyś, w pięćdziesiątym siódmym, z Garbarnią, na pięć minut przed końcem, przy stanie 1:1, poszedł swingiem przez całe boisko, spod własnej bramki; zrobił naprzód dwóch z ataku, potem kiwnął pomocnika i oddał piłkę na flankę. Dostał ją z powrotem, za połowę pola. Trener uczył: „Grajcie kolektywem”, ale wtedy czasu było mało, wskazówka szła do meły - sekundy łopniały, więc poszedł sam, przebojem, w biegu ograł lewego z obrony; ryk widowni rwał za nim jak huragan, dopinowat, podniecał. Z odległości osiemnastu metrów kopnął Tadeusz pod samą poprzeczkę i bramkarz zbaraniał. Potem gwizdek sędziego zakończył spotkanie a tłum go dźwignął na ramionach. To były czasy! Pasję do piłki miał zawsze, od szesnastu lat, od ojca, który grał ongi na lewym skrzydle i za działalność sportową został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Tadeusz też dostał medal, też srebrny, od „Widzewa”.

Ala na progu domu myśli o sporcie urywając się nagle. Siadając do obiadu, do rosółu i zawiłaków z wolowiny, które lubi nie mniej niż syn i żona, która mu je podaje - zaczyna medytować o technologii, obróbce cieplnej i maszynoznawstwie, korespondencji zawodowej, i pedagogice, o prawie pracy i całym szeregu innych przedmiotów, których się uczy, z których trzeba zdać egzamin. Już w maju! Już zaraz! Zdać koniecznie!

Wice Sabina Borowiak krzyczy się potem cichutko a on zagląda do zeszytów, do podręczników i skryptów. On naukę traktuje poważnie.

Około godziny 16 między małżeństwem doszło do sprzeczki. Nie była to jednak awantura. A skąd!

- We włókiennictwie liczy się tylko wy - mówi Borowiak rozżalonym tonem. - Przadki, tkaczki przewijacki, te ze zgrzeblarki i szarpaczy. Nas, remontowców, nikt nie docenia; nas za włókienników mało kto uznaje.

- No bo co z ciebie za włókiennik - śmieje się żona. - Włókiennik to ten co robi w przędzi.

- Robi, robi, dopóki chodzi maszyna. A jak wysiadzie, to zalamuje łapy. I dopiero wtedy po nas. Uśmiecha się Borowiak złośliwie: - A wiesz ty chociaż z czego składa się głowica.

- A wiesz ty chociaż - przedrzeźnia go żona - co się robi z belą bawełny?

On, jednym tchem, obrażony, wylicza:

- Naprzód szarpacz, potem trzepaki, zgrzeblarki, wrzecienne, obreczniki, dwa jarłki, skręt i... i teraz ty, wielki włókiennik, zaczynasz przewijanie.

W pięć minut później wszystko gra. Siada ramię w ramię przy stole czytając „Głos Robotniczy”, obok „Przeglądu” ulubioną gazetę.

O godzinie 16.30 Tadeusz zakłada swój zimowy, granatowy płaszcz, pakuje w brązową aktówkę książki i zeszyty, żegna się z żoną i wychodzi. Kurs zaczyna dziś o 17. Pani Borowiak zostaje w domu sama; teraz może trochę odpocząć. Nastawia telewizor umieszczony w samym kącie maleńkiego pokoju i kładzie się. Szlachetną maszynę od komunikatorów, filmów i muzyki - nazywa „złodziejem czasu”. Nie dlatego zapewne, że nudny program, chociaż - z drugiej strony - gotowa przyznać, że czasami graj-maszyna działa dość nasennie.

Budzi się przed dwudziestą. Oni jeszcze w szkole. Ich razem widuje tylko rano, po piątej, wówczas, gdy powraca z pracy, ich już dzisiaj nie zobaczy.

W Zakładach jest na dwadzieścia minut przed dziewiątą. Wklada roboczy fartuch, chustkę ochronną zakłada na włosy. Ma jeszcze trochę czasu. Zapala papierosa. To ostatni tego dnia. Następnego o piątą. - Już jutro. „Muszę w niedziele upiec ciasto” - myśli. Potem myśli o swoich chłopakach, o swoich „włókiennikach”, o tych co zaraz położą się spać. „To nie - pociesza się. - W przyszłym tygodniu robię na pierwszą zmianę. Też porządnie się wyspię. Jeszcze tylko dwa dni”.

I wśród szumu maszyn, od którego ty „niewłókiennik”, w dziesięć minut dostajesz szumu głowy; pośród łasnych, aż mdłych światła, które ciebie rażą jak uderzenie; w wielkiej fabrycznej hali, w pełnym biegu produkcji, kobieta o szczupłej, delikatnej twarzy, włókiennika z dziada pradziada - zmienia punkt o dziewiątej swoją koleżankę.

I już pęka nić na ósemce. Potem trójka i dziewczątka. Rece kobiety, szczupłe i czujne, prowadzą białą przędzę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DOM BEZ ŚCIAN

1.

Drogo, na Księży Młyn najlepiej skręcać sobie przez park Zródliska; przechodząc mija kamienne stoliki zdobne w szachownicę, przy których gromadzą się renciści z pobliskich zakładów „Obróńców Pokoju” dawniej Scheiblera i Grohmana. Im bardziej posuwają się w latach, tym zacieklej pochłania ich gra. Nie zważając na reumatyzm od rana do zmroku łupią w warcabu albo wymieniają uwagi z kibicami. Jeśli uda się wam wycelować któregoś z tych mężczyzn na rozmowę usłyszycie, że Grohman to był strażak i chodził w mundurze komendanta województwa. Scheibler zaś strażakiem nie był, chociaż zafundował synowi straż z miejscowych wyrostków, bo ten młody Scheibler koniecznością chciał być komendantem, chociaż takim komendantem na niby. Jest tu bowiem w zwyczajny mówić o przeszłości przez przyrównanie strażackiej sikawki, a o teraźniejszości przez układ kamieni na białe stoliki.

Pobliskie ulice nazwały swymi przywódcą na myśl nieco inne treści, bliższe pewnie prawdy, nawet tej prawdy banalnej, którą znają wszyscy. Z parku Zródliska można bowiem wyjść na ulicę Fabryczną, gdzie zmyślnie ukryta w drewnianym parkanie furka otwiera widok na tor scheiblerowskiej kolei i dalej na pocznialne fagiaty scheiblerowskich famul zamknięte ścianą masywnych budynków fabrycznych, tak samo scheiblerowskich. Z parku Zródliska można bowiem wyjść na ulicę Przedzalanianą, gdzie wznoszą się, a raczej chylą, dwie szare wstęgi frontonów robionych pod strzechulec. Kolorystyka przypomina kurz z bawełny, choć jest kolorystem murarskiej zaprawy.

Chodźmy na Przedzalanianą, która się tutaj przebiega zaraz za parkiem, zaraz za szlabanem kolei scheiblerowskiej, prowadząc na południe. Czarny asfalt położony tutaj już ostatnio będzie nas orientować co do stron świata, a może i historii. Po prawicy rozlokował się Księży Młyn pomyślny niedługo jako osiedle dla majstrów i administracji, gdzie na okresie przydano nieco rodzin robotniczych. Po lewicy Dołek z ulicami Golebią i Wilczą, na której się wychował dzisiejszy przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi, Kazimierzak. A tak się jakos dziwnie złożyło, że położenie tych enklaw względem centralnej w „państwie” Scheiblera ulicy Przedzalanianej

wyznaczało zarazem orbitę zainteresowań politycznych. Z jednym tylko wyjątkiem, gdy idzie o zięcia Scheiblera pana Herbsta, którego pałac nie wiedzieć czemu wybudowano także po lewicy, chociaż odgródzono od Dołka wysokim murem z cegiel i gwardią portierów.

2.

Na centralnej arterii scheiblerowskiego „państwa” wtapia się w monolit szarych i starości dom oznaczony nr 88. Mały, blaszany prostokąt pomalowany niegdyś niebiesko, a teraz wyblakła emalia informuje, że tutaj mieścił się Miedzyzakładowy Dom Kultury im. Ludwika Waryńskiego. Szkłane gabioty i zawiadomienie o zapisach do baletu uzupełniały tamtą w kolorze niebieskim informację. Młody człowiek w rozpiętym płaszczu potwierdza niedbale: — Do „Odry”? To tutaj, wejście wskazuje strażak, no nie, bo po co są oczy. Mężczyzna w średnim wieku na przystanku autobusu linii 72 poprawia: — Tancbuda Brauna. Oczywiście, że to tutaj.

Można by parafrazując zdanie, które stało się przysłowiem zaczepiać na Przedzalanianej przechodniów i pytać: „Czy zna pan(i) Brauna?”. Ale lepiej od razu wejść na drugie piętro domu kultury, gdzie na poddaszu zamieszkuje z żoną pan Przybysz, który jeśli nie zna Brauna, to na pewno zna jego legendę.

— No co? Pójdźmy do Brauna? — pyta Przybysz.

— Czyżby? — pytam patrząc staremu w oczy.

— Ano nie — stwierdza stary smutnie.

Tamto zdanie zaplało mu się z lat, kiedy był młody, bo tak się mówiło w okolicy: „Chodźmy do Brauna”,

to znaczy do knajpy; dwie je prowadził w tym domu restaurator Braun. Sam Braun już wtedy nie żył, zniknął gdzieś przed pierwszą wojną światową, jeszcze nie za pamięci Przybysza, tylko bardzo starzy ludzie znali go tu dobrze. Można było dobrze zjeść, a jeszcze lepiej popić i potać, czyż tak się starał Braun.

Po Braunie nastąpiła w budynku szkoła policyjna, w pierwszych dniach niepodległości Polski, widać była bardzo potrzebna niż dwie restauracje. Dopiero w dwudziestym siódmym roku granatowi wynieśli się w inne miejsce, a budynek przejął Scheibler i najął człowieka na dozorcę, został nim właśnie Przybysz.

— Roboty było sporo, można powiedzieć, bo ludzi kłóciło się tu dużo jak to założono Klub Pracowników „Zjednoczeni”. Było co wymyślać po każdej zabawie, butelki, bilety czy to na sali, czy w ogrodzie.

— Te drzewa koło budynku? — pytam.

— Te i inne, których już nie ma, ogródek był spory. Byli tam deski do tańca i kregielnia jak się patrzy. Zabawy organizowali Deutscher, czasem Polacy, ale Polacy rzadko. Na powietrzu przygrywała orkiestra strażacka scheiblerowska albo rezerwistów, na zmianę ta lub tamta i był bufet z piwem, a także samo z wódką.

Przybysz na zabawy nie chodził, chyba służbowo, nigdy dla rozrywki. Inni przychodzili tu często, wstęp kosztował złotówkę, niekiedy nawet właściciel wpadł tu popatrzyć i zaraz wychodził.

— Scheibler? — pytam.

— Może on też, chociaż widziałem raz jak tu przyszedł Grohman, Scheiblera wspólnik, w mundurze komendanta, straż. Zdało się było to w

świętego Floriana, patrona strażaków, stoły zastawione, wszystko uszykowane, ludzie i żarcie. Nie wiedzieć skąd do tych stołów zbliżyło się dziecko, może pięcioletnie, usmarkane do pasa i głodne. Zrobiła się cisza, Grohman zmieszał się, ale zaraz opamiętał, bo wyciągnął chusteczkę białą jak alabaster i utarł temu malcowi głut. Nie pamiętam co potem Grohman zrobił z tą chusteczką, ani też co się stało z tym dzieckiem, Grohman za razem poszedł sobie do „Tabarina”, najlepszej w Łodzi restauracji.

Przybysz zredukowano w trzydziestym siódmym, więc się już klubem nie interesował, pamięta tylko, że byli tu kolarze i ring bokserów.

— A teraz? — pytam.

— Co mi tam teraz, za stary już jestem — mówi Przybysz — o teraz niech pan pyta dyrektorki.

I kończy:

— Teraz jest tu młodzież.

3.

— Ring był przenośny. Latem stał w ogrodzie, zimą był przenoszony do sali. Obok sali była w baraku boksernia. Szczęśliwi ringu zachowywali się jeszcze w sali kinowej, tutaj gdzie ekran — tak zaczyna swoją opowieść palacz Miedzyzakładowego Domu Kultury, Szczeciński.

Próg tego domu przekroczył po raz pierwszy jako chłopak, chłopak z Dołka, a to ważne. Nie miał pieniędzy na mecz bokseński, a koniecznie chciał zobaczyć zawody, więc postanowił wejść tu nielegalnie.

— To mi przyszło nagle do głowy: podnieść gazetę i złożyć starannie jak pakunek, potem śmiało szedłem na sekcję. Czy płaciłem, zaczął mnie serbować, a ja na niego z góry, że to jest mój bilet, pokazałem paczkę. Chwilczkę, mówił woźny. Żadna chwilczka, mówię, bo niosę koszulkę dla Cyryna.

Cyran był sławą w boksie, więc Szczecińskiego przepuszczono, na wszelki wypadek dobrze się ukrył na widowni. Potem jeszcze parę razy stosował ten chwyt z gazetą, a w 1936 sam zaczął trenować boksy w tym klubie pracowników „Zjednoczeni”. Na zabawy ogrodowe raczej nie chodził, z braku forsy, zawsze złotówka to było coś, a wstęp kosztował akurat złotego. Skądinąd wie, że na zabawach grała orkiestra, której kapelmajstrem był Tomfeld strażak w jednej osobie i Niemiec. Tego Tomfelda widział zresztą raz na koncercie, szczałki muszli zostały rozebrane w 1951 r.

— A do teatru pan chodził? — naprowadzam.

— Do teatru? — dziwi się Szczeciński. — Skąd to panu przyszło?

— Tu przed wojną istniała sekcja teatralna w klubie pracowników „Zjednoczeni” — chwalić się swą wiedzą. — Owszem — przypomina sobie Szczeciński — czasem się tu coś odgrywało na scenie, zawsze coś wesołego, czasem się tam przeszmuglowałem bez forsy, ale rzadko.

Bardziej tu się zresztą żyło boksem niż teatrem, kolarze też mieli wyniki, więc również mieli popularność. — Może zresztą co źle powiedziałem — zastępczo się Szczeciński — jestem tutaj palaczem, to znam się bardziej na piecach niż na teatrze, więc niech pan w razie czego poprawi co z mej mowy.

— A piece tutaj dobre? — wtrącam z ciekawości.

— A niech je cholera — oburzył się Szczeciński. — Zresztą to już nie ważne, bo ma być remont kapitalny, więc założą grzejniki i centralne.

Jednak.

4.

— Proletariat — pisał Witold Wandurski, komunistyczny poeta związany z teatrem robotniczym w Łodzi — chciałby widzieć na scenie udrumioną zagadniętą społecznie, ujętą w formy barwne i przekonujące. W teatrze robotniczym powinien znaleźć ujście „naturalny” pod proletariackiego aktora do ośmieszania swoich wrogów.

Tego z kolei nie chcieli fabrykanci, nie chcieli też właściciele Księżego Młyna. Scheibler.

Sekcja teatralna powstała w Klubie Pracowników „Zjednoczeni” w roku dwudziestym ósmym. Pod mecenatem Scheiblera, w którego zakładach roz-

głaszano ogłoszenia o przyjęciach do zespołu. Na takie ogłoszenie zgłosiła się do klubu „Zjednoczeni” Stanisława Sabelowa, dziewczyna wtedy dwudziestoletnia, z czego miała przepracowanych pięć lat w fabryce Scheiblera i Grohmana.

Świat teatru oczarował ją, ponieważ był barwny. Przesadnie ubrana grała w wodewiłach i komediach nie bardzo zastanawiając się nad funkcją ich treści, gdyż na pierwszym miejscu stawiała przede wszystkim grę. Amatorskiej scenie zawdzięcza zresztą swego męża, który z sekcji piłkarskiej przepisał się pod jej wpływem do zespołu, grzywali razem.

— Mam tydzień zdjęć z tego okresu, niech pan tylko zobaczy — mówi Sabelowa i pokazuje album.

(Na amatora że działała stare nabożeństwa, „popisywanie się” na amatorskich scenach drobniemiściami — pisał w przedwojennej „Nowej Kulturze” poeta Wandurski. — Nabożeństwa da się wypieścić. Od burzliwej wieniec wzięli proletariaci tylko środki techniczne. Trzeba opowiadać głos i nauczyć się walczyć swym ciałem, opowiadać ruch. Ideali przyjdą później).

Na krótko przed wojną Sabelowa urodziła się syn Marcin. Po wojnie ten syn grał na scenie razem z rodzicami w Domu Kultury zakładów im. „Obróńców Pokoju”. Jest teraz reżyserem zespołu amatorskich.

— Po wojnie — mówi Sabelowa — dopiero otworzyłam oczy szeroko na teatr, bo aż do demokracji nigdy nie grałam w dramacie. Od tej chwili postanowiłam ani razu nie występować w komedii.

Tak, po wojnie repertuar był bardziej ambitny. Czego tylko Sabelowa nie mogła zrozumieć? Czy może mówić szczerze?

— Proszę pana, był taki rok wkrótce po wyzwoleniu, że w ogóle nie można się było dogadać z dyrektorem w sprawie kostiumów. Nie chciało dać zespołowi nawet śmy do podtrzymania spódnicy, które zostały były jeszcze przed wojną u Scheiblera. Dopiero Liga Kobiet podarowała starszą flarę, którą pociesza w wstążki i doczepiono do tych kiecek.

Potem w zakładach zmienił się dyrektor i od razu stosunek do zespołu dramatycznego zmienił się na korzyść. — Więc ja tak sobie myślę i może się pan ze mną zgodzi, że dużo zależy po prostu od człowieka.

O sprawie tych kiecek Sabelowa rozpowiadała głośno. Ktoś, kto bał się aby to gadanie robotnicy nie dotarło do związków zawodowych albo do partii, postanowił jej zamknąć usta. Nagle rozeszła się fama, że Sabelowa jest reakcjonistką, w tamtych latach łatwo było „załatwić” człowieka. Przekonała się, że jest „załatwiona”, kiedy zespół stanął do konkursu ze sztuką „Spisek bankrutów”.

— Grałam rolę premiera komunistycznego Hanny Lichta, wypadłam nie najgorzej, a cały zespół zagrał świetnie, byliśmy rozpatrywani do nagrody. Ale wyróżnienie przeszło nam przed nosem.

— Zdarza się — powiedziałam pojeźnawczo.

— Być może. Tylko, że podstawowy zarzut jurorów odnosił się do mnie. To znaczy miano pretensje, że rolę komunisty gra reakcjonistka.

Sabelowa zamyśla się chwilę i nagle wybuchła śmiechem.

— Wie pan, w związku z tą reakcjonistką, przypomniała mi się jeszcze jedna historia, na szczęście wesoła. „Spisek bankrutów” wystawialiśmy pewnego razu dla UE i wtedy dostaliśmy ogromny koszyk kwiatów, najwięcej w tym dniu. Wtedy na tych wszystkich, co nazywali mnie reakcjonistką, padł błąd strach, mieli za swoje.

— Ale najlepszą kreacją Sabelowej to Matka w „Balladynie”, najlepiej ja też pamięta, a ludzie z zakładów tak samo. Przychodzą do niej na wykładzie i pytają: — No, kiedy pani znowu zagra Matkę, pani Sabelowa? — Nie zagram — mówi Sabelowa — teatr już nie istnieje, musielibyśmy go rozwiązać w zeszłym roku od chwili inwazji telewizyjnej nastąpił dla zespołu amatorskich ciężkie czasy.

W roku ubiegłym zespół dramatyczny Miedzyzakładowego Domu Kultury występował po raz ostatni na Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Amatorskich i zajął miejsce pucharowe. Dostał w nagrodę magnetofon. Po wakacjach zespół poszedł w rozsypek, jedni do wojska, inni na studia do Warszawy. O nowym zespole na razie nikt nie myśli.

5.

Portier Miedzyzakładowego Domu Kultury Tadeusz Chojnacki, który od dwudziestu lat pracuje w zakładach im. „Obróńców Pokoju”, był człowiekiem nie istniejącym obecnie zespołu dramatycznego. Pewnie dlatego zaczyna rozmowę od sprawy jego likwidacji.

— Jako portier, a po trosze szatniarz i pomywacz, napatrzyć się tu dużo na młodzież, znam każdego, kto tu przychodzi do sali gier.

— No i? — biorę od Chojnackiego papierosa.

— Powiem panu: ludzie jakby zapomnieli o dramacie.

Chojnacki i Gabrysiak, który jest tu tak samo portierem, zerknęli się po raz pierwszy z teatrem w Domu Kultury na Przedzalanianej. Dlatego powtarzają: — Nasza młodzież nie interesuje się sztuką, myśli o tańcach. — Chojnacki dodaje jeszcze: — Zespół dramatyczny w ostatnim roku prawie nie miał publiczności. Może to dlatego, że teraz wszystko jest za darmo. A co za darmo, to się lekceważy.

Kim właściwie jesteś młody człowieku, który przychodzisz do Miedzyzakładowego Domu Kultury na ulicę Przedzalanianą, bo że tu przychodzisz, to fakt, trudno znaleźć miejsce w sali cichych gier z telewizorem i kafełkiem wydzielonym na bar kawowy, gdzie można prócz tego kupić papierosa i ciastka.

Zamówmy sobie kawę i porozma-

Nad czym pracują pisarze



WACŁAW
MROZOWSKI

Ostatnia moja książka ukazała się dwa lata temu, niestety. Jest dawno wyczerpana i nie ma jej w bibliotekach. To „Cyganeria”, wspomnienia o bohemicznej artystycznej młodości wojennego XX-lecia (J. Czechowicz, J. Łobodowski, H. Dominiński, Br. L. Michalski, St. Piętaś, W. Mrozowski).

Rok przedtem „Wiersze wybrane” — trzydziestoletni dorobek poetycki

w nieefektywnym wydaniu Wydawnictwa Lubelskiego. Ale mimo to wyczerpana.

W najbliższych tygodniach w tymże Wydawnictwie ukazuje się w moim opracowaniu „Antologia poezji lubelskiej XX-lecia miedzywojennego” — ponad 30 poetów od Arnsztajnowej i Leśmiana do najmłodszych tego okresu.

Czeka, również w Lublinie, przygotowany również przeze mnie II tom „Proza i dramaty” znakomitego lirika Józefa Czechowicza (tom I „Poezje i przekłady”) ukazał się w roku ubiegłym.

W Wydawnictwie „Ślask” w Katowicach złożyłem tom wspomnień „Pięć lat młodości Wacławem i Jelenią Górą”. Lata 1945—50 na Dolnym Śląsku.

Siedzę nad „Spojrzeniem wstecz” dla Wyd. Łódzkiego. (Po podpisaniu umowy na 10 arkuszy, wypłacono mi 15 proc. zaliczki — coś około 3,5 tys. zł do końca roku. Obliczenie, ile to wynosi miesięcznie. Żyję i piszę). Będzie to książka o powojennym życiu kulturalnym Łodzi. Literatura, plastyczność, placówki kulturalne fabryczne, kluby przyzakładowe, wydziały kultury z miejscami czytelników na czele itp., interesujące a nieznane przeciętnemu obywatelowi tematy. Jeśli tego nie odnotować teraz, ulegnie zapomnieniu ku radości byłych bohaterów. Zdać sobie sprawę z tego, na co się narażam.

I na koniec wolno bar-

dzo pisać biografię „Z Barłaycornem przez życie”, ale do rąk Czytelników nie dotrze ona przedko. Cóż jeszcze. Zostaje oczywiście poezja. Gdyby ktoś zakrzęknął się koło niej, zebrałby tomik wierszy bez pretensji do nowatorstwa i niezrozumiałości, ale do czytania. Może nawet wrzucić.

— Ale kto dziś czyta poezję? A tych, którzy jeszcze pozostali jej wierni, częściej się zalewem debiutanckiego wodolejstwa, metną wodą metnych przekazów anglo-amerykańskich. Zawsze byliśmy „papugą narodów”, dlatego dziś miałoby być inaczej?

HELENA
DUNINÓWNA

W bieżącym, 1965 roku, ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego moja książka, zatytułowana „Kobieta, puchu marny”. Książka o kobietach, nasyconych polskimi, najczulszymi związanymi z Warszawą. O takich, o których cokolwiek wiemy i o takich, o których należałoby wiedzieć. Tych, o których nie wiemy nic, lub bardzo niewiele, jest chyba najwięcej.

W „Czytelniku” od dwóch lat leży zamówiony, za-



kontraktowany i po upływie roku uczciwie nawet zapłacony — przekład dwutomowy „Dzienniki” Marii Baszkirew (młoda zmarła — 1890—1891 — malarzka rosyjska; dziennik — w języku francuskim). Leży i czeka, dopóki jeszcze starczy mi cierpliwości, która jest już jednak na ukończonym.

Na tzw. „warszawie” — dwie książki, nieduże, ale jedna z nich bardzo pracochłonna. To „Miniaturki warszawskie” — zbiór drobnych ciekawostek stołecznych z dawnych lat, do których materiału dostarcza mi, jak zwykle, stara prasa warszawska. Niektóre rozdziały drukuję od czasu do czasu „Stolica”. Druga, nie posiadająca dotąd tytułu — to jeszcze jedna książka osobistych wspomnień, tym razem nie tylko o ludziach, z tych czy innych względów ciekawych, ale i o ciekawych... przedmiotach.

To — na razie — wszystko.

„WŁÓKNIAK” - dokument poetycki

— „Nie waham się twierdzić, że jest to epos robotniczy Łodzi, rzetelnością prawdziwych spraw, sposobem podjęcia, a raczej drogą wyjęcia utworu z opisywanego świata. Używam terminu „epopeja” w głębokiej wierze, że jest on stosowniejszy tu, niż np. gdy w swoim czasie określił nim „Pana Balcera” Konopnickiej!

— Takimi słowami kończył znany krytyk i teoretyk poezji, K. W. Zawodziński, recenzję z książki, która ukazała się w 1938 roku w warszawskim Wydawnictwie Współczesnym. Recenzja, utrzymana w tonie bardzo pochlebnym, nosiła znamienne tytuły: „Czyżby odrodzenie poezji epickiej?” A jak nazywa się książka, która wydała się krytykowi zapowiedzią renesansu epiki? Cóż to za epos robotniczy Łodzi, epos miasta, uchodzącego za tak niesprzeczające natchnieniem poetyckim, tak rzadko opiewane przez poetów?

Nazwisko autora tej książki: Józef Jeremski — nie padło jeszcze bodaj ani razu w ogłaszanych po wojnie przyczynkach do historii kultury

naszego miasta. Ponieważ historia ta, niestety, nie obfituje w rewelacje, sądzę, że nie powinniśmy zubożać jej jeszcze i o to nazwisko, że warto je przypomnieć. Tytuł książki, do której z trudem udało mi się dotrzeć dopiero w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, — prosty, bezpretensjonalny i łódzki, arcyłódzki, „Włóknierze”.

„Równie toczące się trzy-nastozłotkowce — że pozwalamy sobie znowu na dosłowny cytat z Zawodzińskiego — wyrównując intonację, wygładzając to co mogłoby być chropowate w rytmie prozy, zastępując bezpośrednią reprodukcję języka bohaterów umownym, pośrednim z natury, językiem mowy wiązanej, stwarzając artystyczną jedność utworu, więcej — czyniąc go dziełem literackim. Autor włada wierszem dostatecznie, aby wygadywać się nim jasno, nie nadużywając wsty słownej dla rytmu i rytmu. Więc też choć książka jest duża (277 stron) treść jej zdumiewa bogactwem nawet w stosunku do rozmiarów”.

Cóż jest treścią „Włóknierzy”, kto — ich bohaterem?



(Z Muzeum Włókiennictwa w Łodzi)

ne kapami, zdobnymi w uśmiechnięte kocie łebki; zapach barszczu i palonej pszenicy, którą zaparza się i nalewa ojcu do emaliowanej blaszanki, gdy idzie na szczyt. W niedzielę do takiej psze niecznej kawy dolewa się mleka, a oprócz barszczu pachną w izbie śledzie...

Jeremski potrafi wywołać w wyobraźni czytelnika sugestywny obraz zdarzeń i sytuacji, tych patetycznych, zapiskanych przez historię, i tych drobnych, codziennych, kształtujących życie pojedynczych, zwykłych ludzi. Zresztą te dwie płaszczyzny krzyżują się ciągle i nakładają na siebie: polityka staje się rzeczą codzienną i osobistą, drobne wydarzenia domowe wpływają na postawę człowieka wobec spraw najistotniejszych.

Gudula zostaje członkiem partii narodowej, jego syn, przestając od dziecka z rodziną niemieckich socjalistów, Krantów, wciąga się powoli w środowisko lewicowe. Podziały światopoglądowe, manifestujące się nieraz w wymianach strzałów, podciągające za sobą niemal oślar, nie są przecież takie proste i na pierwszy rzut oka czytelne. Jest zasługa autora, że nie poszedł na łatwe schematyzowanie, starając się oddać właśnie całą tragiczną złożoność ówczesnej sytuacji w ruchu rewolucyjnym, ów zamęt pojęć, jaki po nieudanej rewolucji 1905 roku zapanował szczególnie w Łodzi.

Ponuro patrzy Gudulowa na małego Ignasia, brata Wiktora:

Ignas zgon wyrzuty
miał na twarzy i każdej chwili w swe objęcia
mierło go mogła pochwylić. Nawet płacz dziecięcia
był tak cichy, że Ignas nie płakał lecz kulił...
Gudulowej sprzykrzyła się męka i chwili
śmierci dziecka czekała jakby z utęsknieniem;
bo Ignas już nie dzieckiem był, lecz dziecka cieniem...

Zaczynają się awantury na mieście, rozbijanie sklepów, rzymskokatolicki plynie podpalona w monopolu wódka, ogarniając płomieniem niejedną

drewniany dom na Chojnach (tu Jeremski sięga do wydarzeń autentycznych). Mimo ogólnej nędzy stypa po małym Ignasiu musiała się odbyć:

Bo gniewy
potem jakieś i dąsy mogłyby wymienić
gdyby sobie ten i ów nie miał czego bijnąć.
Wicek coraz częściej zagląda do kieliszka, ale —
hulanek nie może to zwać się, gdy czasem
sobie podpił i z szynku powracał z hałasem.
Wszak w sferze robotniczej wypić trzy kieliszki
wódki, poprawić piwem, zjeść pół funta kisielki
i zaśpiewać wesoło, to już jest hulanka.

Spotyka jednak dziewczynę, Teklę — a tak, jest i „watek erotyczny”. Slaby i trochę sztuczny, jakby autorowi nie stało w tej materii wyobraźni. Miłość Wicka powoduje znów dalsze komplikacje, bo dziewczyna jest wierzącą katoliczką, a jej ojciec socjal i ateusz, człowiek ostry, stary działacz rewolucyjny. Spół wydarzeń doprowadza do spotkania Wicka ze starym Boreckim, ojcem Tekli, w więzieniu, gdzie uparte milczenie starego ratuje Wickle życie. Jeden z młodych Krantów, towarzyszy Wicka z lat dziecięcych, okazuje się szpiclem i prowokatorem, pełni nawet funkcję kate. Jeremski miał rze czywisty pierwowzór takiego losu: osławionego renegata Fremia, byłego bojownika, później „wieszatela” w więzieniu na Gdańskiej (ówczesnej Długiej).

z kąta jakaś baba się ta
przysięga, że się napróżd urodzą bliźnięta —
jedno będzie z pepesu, drugie narodowe...

Jeszcze patetyczną klamerką zamknięty całość: ojczyzna? Jest w niej przecież szczęścia pod dostatkiem. Jeno tam ktoś czasami, nieśmiało, ukradkiem rzuci ostrożne słowo, aż nadejdą czasy, gdy ocenią się z uspienia robotnicze masy...

Koniec poematu o Łodzi, który czyta się — bez przesady — jednym tchem. Jest przepojony najprawdziwszą „łódzkością”, atmosferą tego miasta, nastrojem tamtej epoki. Jest w nim — jeszcze raz zaznaczam — Zawodzińskiego — prawdziwie epicką „miłość zastanego”: „od strof pulsujących wzruszeniem aż do rzeczowego wymieniania plac i cen w kopiejkach i miarach niemieckich; od wstrząsających obrazów pracy fabrycznej, używającej człowieka jak paliwo, od krwa wych walk bratobójczych — aż do szczegółów jedzenia, mieszkania, umiędłowania, słowem wszystkiego, co się dzieje w robotniczej sferze”.

wszędzie obserwacja wierna i po epicku rozmiłowana”. Jeśli nawet, stosując wysokie kryteria wartości artystycznych, uznalibyśmy „Włóknierzy” za utwór drugorzędny, to przecież jego walory dokumentalne jego charakter poetycki jego trafność obserwacyjna i umiejętność przekazania nastroju powodują, że niemałe fragmenty poematu Jeremskiego go warto są — zdaniem naszym — przypomnieć i że ludzie, którym nieobojętna jest tradycja naszego miasta mogliby znaleźć wiele przyjemności w lekturze tej książki.

Ponad miastem kolumny szesnastych kominów
strzelają w niebo dumne wysoko i głą
w kłębach dymów podniebnych, co kradną mi słońce
i do izb robotniczej braci, tak łaskawej
promienistej ciepła, wnoszą wieczny smutek.

Przez miasto płyną czarne kanały, zatrute
oddechami fabrycznych ścieków, pełnych smrodu,
które robotnik, dzieckiem będąc, już za młodu
wchłania w siebie, przetrawia i na pół umartwym
ciałem już jako młodzien w świat wstępuje —
karłem.

Parkany i ryzostoki białym wapna sznurem
ciągną się wzdłuż uliczek, jak gdyby ponura
miasto proletariatu jasnością swą chciały
ożywić, dodać pulsu... Nie, w ryzostokach białych
kapitał i zaraza walczą o człowieka.

To Łódź 1906 — 7 roku, podminowana spiskiem ciemnych przeciwo ciemnościom, rozbrzmiewająca okrzykami manifestujących tłumów, strzalami ofiarnych bojowców, tętentem pacyfikacyjnych kozackich sotni. Łódź prawdziwa, zachowana wiernie w pamięci syna tego miasta.

Sezonowy robotnik mularski, Gudula, do niedawna jedno czy dwumorgowy chłop z podłódzkich okolic, staje się

robotnikiem fabrycznym. Dokola niego dzieją się niezrozumiałe z początku sprawy: ktoś rozbił figurę Michała Archanioła; ktoś rozrzucił na ulicy ulotki; ktoś obcy chce uczyć robotników z książek, za darmo — Gudula używa nawet swej izby na ten cel. Chcecie wiedzieć, jak wyglądały takie izby? — Przedzielone na pół zwaliskami szafa, na której piętrzą się różne pudła i pudełka. Łóżka zasła-

wiały z młodym człowiekiem starając się nie zwrócić niczyjej uwagi, choć to będzie trudne. Jest jeszcze w wieku, który trudno nazwać dojrzalszym, choć nie jest to wiek szkolny — zresztą młody człowiek nie pracuje.

Zapytany dlaczego tu przychodzi, młody człowiek bez namysłu odpowiada, że nie wie, nigdy do tej pory nie starał się odpowiedzieć sobie na takie pytanie.

— Może warto spróbować — nalega reporter.

— Może warto — potwierdza młody człowiek i milczy. Potem się decyduje: 1) bo fajne towarzystwo, kole-dzy, 2) można się pogapić w telewizor albo pożyżać jakąś grę stołową, 3) bo są różne imprezy, występy solistek i orkiestry, 4) bo jest tu mi-mo wszystko ciekawiej i przyjemniej niż w domu na łonie rodziny, 5) przy-jemnie jest dlatego, że są rozrywki. Młody człowiek jest typem kultu-rałnego kibica. Gdyby nie było Domu Kultury przesiadywałby w parku, albo też pod budką z piwem i zacząłby przechodzić. Jest nastawiony wyłącznie na konsumpcję nie dając w zamian nic od siebie. Ale czy to znaczy, że jego instynkt społeczny jest niemal równy zeru?

Międzyzakładowy Dom Kultury jest domem bez ścian w sensie przenośnym. W zasadzie może do niego wejść każdy, kto ma na to ochotę, zwłaszcza w porze popołudniowej, kiedy funkcjonuje kawiarnia i telewizor z dużym ekranem. Ale kto przychodzi do kawiarni po raz pierwszy musi się liczyć z tym, że powrót do domu może być nieco utrudniony. Sprawa to zakomplikowana w pobliższym ustępie wiśniarnia, która pobiera od obcych pociągowe myto za przekroczenie granic dzielnic. Nie jest to reguła tylko dlatego, że mieszkający kilka ulic stąd przystojny, młody brunet w okularach bywa tutaj często, ale nie regularnie.

Młody człowiek posiada więc instynkty społeczne, tylko nieco spaz-czone. W zasadzie chciałby coś zrobić, tylko nie bardzo wie, na czym ma polegać ta robota.

Dyrektor Międzyzakładowego Domu Kultury, Zofia Krzeminska, powiada: — Chcielibyśmy powołać do życia społeczną radę spośród tych młodych ludzi z postawą kibica. To by się przy-czyło do uczynienia z nich uczest-ników życia kulturalnego dzielnicy. — Dlaczego się więc tego nie robi? — pyta reporter. — Jesteśmy w przededniu remontu i w ogóle mamy różne techniczne prze-szkody.

6.

Jest to dom bez ścian w sensie przenośnym i dom bez części dachu w sensie potocznym. Tegoroczne śnie-gi dokonały dzieła zniszczenia roz-poczętego przez grzyb, koronki i upływ czasu. Trzask walałego się dachu ostrzegł i powstrzymał od wejścia na górę 2 dozorców, którzy z miotłami i łopatami szkodliwych się do uprzątnięcia śniegu. Strop osiadł na rusztowa-niach mocujących ekran nieczynnego od 5 sierpnia ubiegłego roku ki-na „Odra”, które zdecydowano się zamknąć po energicznej akcji dyrek-tora Międzyzakładowego Domu Kultu-ry, pani Zofii Krzeminskiej. Ona to ściągnęła Komisję z rady narodowej i spowodowała badania mykologiczne, z których wynika, że „elementy drewna budynków, a przede wszystkim belki stropowe i podłogi są porażo-ne przez grzyb lub zniszczone przez owady, nie były impregnowane i roz-wój grzyba jest aktywny. Ekspertyza stwierdza, że w budynku kinowym podłogi podtrzymujące belki stropo-we są znacznie osłabione, nie spełnia-ją obecnie właściwego przeznaczenia. Końce belek stropowych w budynku frontowym wykazują stopień znisz-czenia w 80 proc.”.

Wraz z kinem zamknięto sporą są-lę na piętrze, której stropy są równie nadwerżone i gdzie można przebywać pod warunkiem, że się zapanuje nad swymi ruchami, aby broń Boże nie rozhuśtać podłogi. Pan Filipowicz, ma-gister inżynier z Miejskiego Biura Projektów, ocenił istniejący stan tech-niczny jako groźny. Stary mieszkani-ecznicy twierdzi: — Panie, nie dzi-

wota, ten budynek ma ze sto lat, a może i więcej. Przedstawiciel zakłado-wo im „Obronców Pokoju” zadekla-rował gotowość wzniesienia nowego domu, jeśli tylko tego typu inwesty-cja została zaakceptowana przez Warszawę. Sami władni są wnieść dwa miliony złotych na remont kapitalny. Inny stary mieszkani-ecznicy powiada: — Panie, ja bym tego bu-dynku nie remontował. Ja bym przy-niósł Dom Kultury do pałacu Her-bsta. Dyrektor Mz. DK dodaje: — Mamy już dokumentację na remont kapitalny.

7.

Trzask walałego się dachu — jakaż to pożywka dla reportera, który nie widzi dalej niż czubek własnego no-sa. Widzę już te sążniste tytuły ga-zetowe: „Biję na alarm”, „S. O. S.”, „Wzywamy pomocy”. W rzeczywistości trzask łamiącego się dachu na-stąpił przynajmniej o dwadzieścia lat za późno. Rozległ się jak huk bomby zegarowej, której mechanizm nie od-palił we właściwym czasie, w czasie, na który był nastawiony, to znaczy wówczas, gdy zalałama się fortuna Scheiblerów i Grohmanów.

Międzyzakładowy Dom Kultury przy ul. Przedzaskalnej nie jest bowiem kontynuacją działalności panascheiblerowego klubu pracowników „Zjedno-czeni”, ani też knajpiarskiej działal-ności pana Brauna. W ogóle nie ma tutaj nic, co by przypominało kla-syczną prowincję, której kultura ognis-kuje się w remizie strażackiej, albo w gospodzie ludowej, czyli knajpie.

Major Majewski, przewodniczący za-rządu łódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powzechnej mówi: — Międzyzakłado-wo Dom Kultury na Przedzaskalnej pod względem zapotrzebowania na od-czyty znajduje się na jednym z pierw-szych miejsc w Polsce. Nie ma tutaj imprez nieudanych, sala odczytowa jest zawsze pełna i ludzie dyskutują chętnie, rzeczowo stawiając preleg-entom duże wymagania.

Z dziennika zajęć kulturalno-oświa-towych prowadzonego przez Dom Kul-

tury reporter wynotowuje cyfry pre-lekcyjne „Kultura życia codziennego”, „Wiedza o filmie”, „Dwadzieścia lat teatru w Polsce Ludowej”, „Literatu-ra”. A także cykl odczytów dla pro-wadzonego przez Dom Studium Wy-chowania Estetycznego oraz dla Wle-czowej Szkoły Aktywn. Odczytów tych wysłuchało w ciągu roku 1964 łącznie 10.500 osób, a więc niemal ty-lko, ile pracowników zatrudniają naj-większe w Polsce zakłady bawelnia-ne im „Obronców Pokoju”.

W Domu tym pracuje od lat pierw-sza w Polsce związkowa biblioteka sa-moobsługowa licząca blisko 17 tys. po-zycji. Czy dobrze? Nie wiem. Wiem tylko, że o bibliotekarce nie powie w tej dzielnicy nikt inaczej, jak „ko-chańca pani Łopacińska”. Albo też „Pani Łopacińska oddana jest całym sercem”.

Co drugi odczyt odbywa się w tym Domu koncert muzyki poważnej przy współudziale Liceum Muzyczne-go. Prócz tego Dom ma własne zespo-ły muzyczne: big-beatowy „Torpedo” i „Wolfiniek” oraz jazzowe znane w całej dzielnicy, bo nie ma takiej aka-demii, na której by nie musiały grać. Istnieje wreszcie zespół wokalny, któ-ry wychował sobie sporo zdolnych pio-senkarzy, ale ci, skoro poczują tylko uznanie wyrzają się w świat na pół-zawodowość i co roku trzeba poszu-kiwać nowych.

To jednak, co jest przedmiotem du-mny Międzyzakładowego Domu Kultu-ry im. Waryńskiego, a może i całego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, istnieje bez nazwy, bez sławy tymczasem, która spadnie pewnie nagle w najmniej spodziewanym momencie. Reporter zja-wia się w świetlicy zakładów im. Du-bols, aby przypatrzeć się próbie chóru wólkniar-ek z Międzyzakładowego Domu Kultury na ul. Przedzaskalnej. Ktoś na szkolnej, czarnej tablicy na-rysował gamę i napisali: „Śpiewać dzieci!” Na podwyższeniu stoi Edward Pagowski, kierownik artystyczny chóru, z boku na fortepianie pod się akompaniator.

Pytam Pagowskiego, jak doszło do powstania chóru.

— To się zaczęło od spotkań z pio-

senką organizowanych w zakładach pracy — wyjaśnia kompozytor. — Przyjmowaliśmy każdego, kto się zgło-sił niezależnie od warunków gło-sowych, bo chcieliśmy o rozbudzenie za-interesowania piosenką.

— Jak to bez warunków głosowych? — trudno jest w to uwierzyć słysząc chór.

— Tak było na początku — śmieje się Pagowski. — Już w styczniu 1964 roku dysponowaliśmy zorganizowanym chórem, który wystąpił na zjeździe wólkniarzy w 408 osób.

Zespół sięga do folkloru proletaria-ckiego, jest chórem o wyraźnym obli-czu ideowym i artystycznym. Wystę-puje publicznie jeszcze rzadko, naj-częściej przed kamerami telewizji. Rzadko zespół występuje jako całość, bo czasami zdarza się, że w jednym dniu trzeba dać dwięć występów. — No jak pan myśli, będzie co z tego chóru? — pyta Pagowski robiąc oczko.

— Myślę, że będzie.

8.

Międzyzakładowy Dom Kultury im. Waryńskiego nie jest kontynuatorem działalności panascheiblerowej, cho-ciaż dusi się w tym samym gmachu. Międzyzakładowy Dom Kultury im. Waryńskiego chcą wyremontować, cho-ciaż nie pomieści się w tym gmachu. — A długo pociągnie ten budynek po remoncie? — pytają ludzie w dziel-nicy. — Z jakiegoś dziesięć lat powin-niem pociągnąć — mówią rzeczoznaw-cy. — A dużo to będzie kosztować? — ludzie dalej pytają uparcie. — Dwa miliony i sto tysięcy — odpowiada im kosztorys.

O kilkadziesiąt metrów od Międzyza-kładowego Domu Kultury wznosi się pałac pana Herbsta, w którym roz-siadła się placówka PAN-u.

— Czy dom kultury nie powinien znajdować się w najstrojniejszym bu-dynku tej dzielnicy? — pyta pałac Szczęśliński. — Jak pan sądzi, panie reporterze.

Reporter stawia pytanie pałaca Szczęślińskiego publicznie.

KONRAD FREJDLICH

Film we włókienniczej Łodzi

Nie chodzę do kina, daję świństwo, to grzech patrzeć!
(55-letnia tkaczka)

Ilość kinomanów, to jest ludzi oglądających przynajmniej 100 filmów rocznie wynosi około 15 proc.
(Z badań Instytutu Filozofii i Socjologii PAN)

Mam hodowlę rybek — kinem nie interesuję się.
(Robotnik po pięćdziesiątce)

W roku 1956 w kinach kraju odbyło się ogółem 1.417.170 seansów, a ogólna ilość widzów wyniosła 195.531.000.
(Rocznik Statystyczny 1960, GUS)

Powszechnie wiadomo, iż „Rocznik Statystyczny” jest pozycją, która niezmiennie pojawia się na liście bestsellerów. Stanowi to miarę jego popularności. Nietrudno odgadnąć, skąd bierze się ta poczytność. Po prostu ciekawo jesteśmy, jak żyją inni, pragniemy porównać przeciętną życia w Polsce z tym, co sami zdołaliśmy osiągnąć. Dajemy do uzyskania jak najpełniejszego obrazu otaczającej nas rzeczywistości, a dzięki danym statystycznym obraz ten staje się konkretny, wymierny. Te same względy decydują o atrakcyjności wyników badań młodej nauki, córki XX wieku — socjologii, w której badania statystyczne stanowią jedną z podstawowych metod badawczych. Tak bardzo abstrakcyjne pojęcie społeczeństwa, życia społecznego, nabiera dzięki niej realnych wymiarów, daje się określić w konkretnych cyfrach. Socjologia nazywa wreszcie po imieniu rozmaite zjawiska społeczne, tłumaczy je wszechstronnie, wskazuje na ich przyczyny i następstwa oraz wzajemne powiązania.

W badaniach tych wiele miejsca i uwagi poświęca się społecznym uwarunkowaniom sztuki. I znanie — film jest tą formą sztuki, która socjologia zajmuje się najczęściej. Dlaczego? Po prostu dlatego, że istota kina i to od samego momentu jego narodzin była masowość. Film stał się zjawiskiem ogólnoswiatowym: dotarł do wszystkich kontynentów, ras i narodów. Pokonał wszelkie granice: sztuczne i naturalne, dzielące ludzi. Zgromadził w sali kinowej młodych i starych, wykształconych i niedouczonek, wierzących i ateistów, ludzi należących do wszystkich warstw i ugrupowań. Stał się powszechny i potrzebny. Równocześnie jego wpływ na psychikę odbiorcy jest tak intensywny, jak w żadnej dotąd sztuce. Nie na darmo nazywa się go narkotykiem, opium dla mas, a seanse kinowe stanem zbiorowej hipnozy, czy snem na jawie.

Z interesujących badań socjologicznych nad odbiorem filmu w Polsce wybrałam te dane, które dotyczą łódzkiej publiczności robotniczej. To ona właśnie nadaje zasadnicze rysy społecznemu profilowi miasta. Wielkomińska, wielotysieczna Łódź, jest bowiem ośrodkiem przemysłowym posiadającym tradycyjne, istniejące od lat środowisko robotnicze, dość jednorodne, bo związane w przeważającej większości z włókiennictwem i zawierające niewielki tylko odsetek przybyszów z innych obszarów kraju. Korzystałam tu z wydanej w 1962 roku książki Kazimierza Żygulskiego „Film w środowisku robotniczym”, której zawdzięczam wszelkie dane liczbowe i konkretne spostrzeżenia. Uzyskanie ich stanowiło rezultat żmudnej pracy całej armii specjalnie przeszkolonych ludzi. I dlatego przytoczone informacje dotyczą nie najnowszego okresu, lecz niezmiennie roku 1959, kiedy to dokonano ankietyzacji łódzkich robotników w czterech zakładach włókienniczych i jednym przemyśle maszynowym.

W okresie tym przypadło 13,5 miejsce kinowych na 1000 mieszkańców Łodzi. Przeciętny statystyczny łódzianin obejrzał w ciągu roku 11 filmów. Ale cyfry te nie dają

jeszcze należytego pojęcia o tym, jak często chodzimy do kina. Mówią bowiem o łódzianinie statystycznym. Tymczasem wiadomo, że ludzie chodzą do kina różnie: raz na miesiąc, raz na tydzień i częściej, a są i tacy, których przez okrągły rok nie ujrzymy na widowni. Ci ostatni stanowili 13 proc. robotników, przy czym przeważały tu kobiety. Dla porównania — we Francji w tym okresie nie uczęszczało do kina 39 proc. ludzi, w Anglii — 24 proc. Pozwala to na wyciągnięcie wniosku, że włókiennicza Łódź „ufilmowiona” jest bardzo mocno. Kinomani — oglądający więcej niż jeden film tygodniowo stanowili wtedy około 14 proc. mieszkańców. Ciekawostka: do kina nie chodzi w ogóle trzykrotnie więcej kobiet niż pracujących niż pracujących. A więc ilość wolnego czasu nie jest tutaj czynnikiem decydującym. Gdzie w związku z tym należy szukać przyczyn? Oddajmy głos samym ankietowanym:

— Codziennie dojeżdżam do pracy, jest to męczące i trudno znaleźć czas na tę przyjemność.

— Rzadko chodzę do kina, bo muszę zostawić z dziećmi — a żona tak bardzo lubi kino, że bez niego nie może.

— Lubię kino, dawniej często chodziłam, a teraz mam małe dzieci i nie mogę, muszę się zająć nimi i domem.

— Chodzę wyjątkowo, gdyż niestety, w stosunku do moich zarobków bilety są za drogie.

— Choruję na oczy, kino mnie męczy i nie chodzę.

— Nie lubię kina, w lecie wolę oglądać dobry sport, w zimie posłuchać radia.

— Mam hodowlę rybek — kinem nie interesuję się.

— Nie chodzę do kina, daję świństwo, to grzech patrzeć!

— Nie lubię kina, ale niekiedy muszę iść z żoną, bo ona lubi.

Jak widać — przyczyny nie chodzenia do kina są bardzo różnorodne. Najczęściej tego powodem jest praca w ogródku, dalej:

— hodowla (przeważnie rybek czy ptaszków), jazda na motocyklu, gra w karty, gra na instrumentach.

Jeszcze rzadziej — tańce, spacer, robótki domowe (wyszywanie, haftowanie), modelarstwo, chodzenie na wódkę.

Ludzie nie uczęszczający w Łodzi do kina, to przeważnie mieszkańcy starsi, po pięćdziesiątce. Znacznie częściej chodzą do kina panny i kawalerowie, trzykrotnie rzadziej mężatki i żonaci. Przyczyna nie chodzenia do kina jest również często nauka na kursach wieczorowych, po pracy.

Ciekawie przedstawiają się zainteresowania łódzian różnymi formami rozrywki. Co uważają za rozrywkę najlepszą? Oto odpowiedzi:

1) kino	31,4%	„mieszki”
2) sport	18,3%	„
3) radio	15,1%	„
4) książki	14,9%	„
5) gazety i czasopisma	9,1%	„
6) teatr	5,4%	„

Upodobania te zależą są w znacznej mierze od płci, wieku i stopnia wykształcenia. I tak wśród kobiet aż 42 proc. uważa kino za najlepszą rozrywkę, wśród męż-



MARIA
KORNATOWSKA

Po okresie rozrachunków z problematyką wojenną, widziana głównie w perspektywie narodowej skłonności do nie zawsze przemyślanego bohaterstwa, zbliżamy się do filmowego „etapu” rozrachunków z tzw. okresem minionym. Obydwie serie „rozliczeniowe” pojawiły się, niestety, ze znacznym opóźnieniem, na skutek zapewne zupełnie naturalnych trudności z matematyką. Dla właściwego potraktowania zagadnień heroizmu dystans czasowy okazał się konieczny i chyba pody. Nie da się jednak powiedzieć tego samego w odniesieniu do tematyki okresu „błędów i wypaczeń”. Czas milczenia okresił il niejaką postawę naszego filmu. Miał pozycję aktywnego współuczestnika wydarzeń, angażującego się czynnie w tok przemian, tworzącego sprzyjający im klimat, film polski zalał postawę świadka, który po latach wrócił historii: tak było. Po twierdząc w pewnym sensie to, co jest już wszystkim wiadome, oczywiście, niemal podsumowane, filmy rozrachunkowe, a myśle tu przede wszystkim o „Rachunku sumienia” Dziedzi-ny i „Życie raz jeszcze” Morgensterna, odarte zostały z polemicznej pasji, z tak ważnego chyba akcentu indywidualnej woli naprawiania świata.

Odbiło się to zarówno na samym kształcie wspomnianych filmów (m. in. zautawiony przez krytykę tzw. nowy schematyzm) jak i na reakcji widzów. Ta reakcja wprowadza się, niestety, najczęściej do przytłaczania: rzeczywiście tak było. Bo i w odczuciu twórców i w odczuciu widza jest to już wła-

ściwie historia skończona i zamknięta. A przecież chyba nie o to najbardziej chodzi. Ilustrowanie obrazkami, nawet najbardziej dokładnymi i przekonującymi, nie jest jak sądzić zasadniczą funkcją sztuki filmowej.

W porównaniu z filmem Dziedzi-ny, „Życie raz jeszcze” stanowił krok naprzód w sensie odciecia od publiczności ilustracyjności. Jest bardziej żywe, bardziej dramatyczne, bardziej ludzkie i bardziej, trzeba to przyznać, angażuje widza. Aby to osią-

**ŻYCIE
RAZ
JESZCZE**

nać twórcy posłużyli się chwytami w kinie niezawodnym. Mianowicie, w centrum fabuły umieścili dramat miłosny. Mamy więc miłość przystojnego kapitana RAF-u i naiwnego dziewczęcia, wychowanego nie tyle w klasztorze, ile w szeregach ZWM. Po krótkich oporach naiwne dziewczę dorasta do „zadań kobiety” i wszystko mogłoby się potoczyć zwyczajną losów koleją, gdyby nie złośliwa historia, która pomieszała szlaki naiwnemu dziewczęciu i przystojnemu kapitanowi. Jest jeszcze ten przysłowiowy trzeci, jak przysłało w takich wypadkach obłudny, tchórzliwy, konformista, Samotna,

bezradna, oszukana dziewczyna musi, rzecz jasna, wpaść w jego niesympatyczne ramiona. Mamy więc coś w rodzaju „Pożegnania walca” a la polonaise. Ten melodramatyczny schemat z miejsca gwarantuje sympatię i zainteresowanie widza dla losu bohaterów. Historyczne powikłania odrywają tu rolę fatum, które rozdziela zazwyczaj dwoje kochanków. Tyle, że historia w przeciwieństwie do niedobrego fatum, okazuje się mądra i sprawiedliwa i kochankowie miast odnaleźć się w grobie, czynią to na lotnisku. W ten sposób film wykracza już poza schemat „Pożegnania walca”, miłości się natomiast znakomicie w tym, co krytyka ochrzciła mianem nowego schematyzmu. Chodzi tu o bardzo charakterystyczny model fabularny filmów i literatury rozrachunkowej. Nieślusne oskarżenie, wiecie, nie lub bania moralna, (bohater „Czystego nieba”, Jakuszyński), nowe czasy, rehabilitacja faktyczna i moralna, życie raz jeszcze. Istotnej słabości tego nowego schematyzmu należałoby się dopatrywać w nazbyt mechanicznym traktowaniu procesów historycznych i psychologicznych oraz ich wzajemnych powiązań. W filmie Morgensterna jest to nader wyraźne.

Nie jestem pewna czy życie, tak jak ruch uliczny, można zatrzymać, a potem puścić dalej, jak gdyby nie nie zaszło. Osobne miejsce zajmują w filmie postacie kreatare partii. Jakuszyński, postać pozytywna i sympatyczna, bardzo ludzka. Ale chyba nazbyt bierna. Jakuszyński powinien być przecież wykładnikiem tej postawy i tej myśli, która trwała w latach stalinizmu, stanowiąc gwarancję i podstawę możliwości życia raz jeszcze. O ile Grajewski i Anna mają prawo być ofiarami, to Jakuszy-

szyn nie. I tu jeszcze jeden zarzut pod adresem filmów tego rodzaju, co „Rachunek sumienia” lub „Życie raz jeszcze”. Procesy historyczne nie zachodzą przecież ponad głowami społeczeństwa, ponad głowami bohaterów. To chyba niezgodne z prawami materializmu historycznego. Czyż przemiany nie dokonują się poprzez nas samych, czyż nie uczestniczymy w nich naszą myślą i działaniem. Czyż nie jesteśmy, czyż nie powinniśmy być odpowiedzialni za czasy, w których żyjemy.

I jeszcze jedno. Dlaczego Jakuszyński, a z nim i twórcy filmu — jak sądzę — uważa, że należy akceptować Fettinga czyli szmatławego dziennikarza. Osobiście, nie rozumiem racji, które dyktują Jakuszyńskiemu ewangeliczne zdanie: tak trzeba. Nie chodzi tu przecież tylko o osobistą krzywdę Jakuszyńskiego czy Anny. Chodzi chyba o coś więcej. Z postacią dziennikarza wiąże się dramat Anny. Anna miała szansę stać się jedną z najciekawszych postaci kobiecych w polskim filmie, ale szansę tę przebrała i z winy scenarzysty i z powodu niedojrzałości aktorskiej Ewy Wiśniewskiej. Dzięki scenarzyście opuszcza my Annę właśnie w momencie, gdy jej dramat nabiera rumieńców, gdy staje się rzecz można zwierciadłem epoki, to znaczy w momencie jej zetknięcia się z dziennikarzem.

Te wszystkie zarzuty nie umniejszają wartości filmu Morgensterna. Jest w nim kilka scen wyborczych, jak choćby sekwencja zebrania komitetu partyjnego. Nastroj zebrań — kapitalna sylwetka Siemiona, ponuro milczący chór świadków — wszystko to znakomicie charakteryzuje atmosferę owych czasów, atmosferę lęku, nieufności, podejrzliwości i bierności, podległego konformizmu milczenia. W znakomitej scenie zebrania (warto zwrócić uwagę na stronę formalną, na charakter zdjęć, oświetlenia, ruchy kamery), dorównując sekwencje wieżenne. Wreszcie trzeba podkreślić zupełnie nie zwykłą na naszym gruncie dbałość o autentyzm szczegółów, o realia epoki. W tym sensie „Życie raz jeszcze” dorasta niemal do rangi dokumentu pewnego okresu naszych dziejów. Niemala to zasługa świetnych zdjęć Jerzego Wójcika. Bardziej niż słowa i perypetie bohaterów oddają klimat ciężkich lat powojennych szarych nieba, murów i ulic, faktura o-brazów, perspektywa w jakiej pojawiają się na ulicach błędnie ubrani, jak gdyby przypłaszczeni w swym ruchu przechodnie. To samo dotyczy wnętrza mieszkań i miejsc publicznych. W końcowej partii filmu Grajewski wychodzący z więzienia zastaje wszystkich odmienione. Szerokie, jasne ulice Warszawy, ruiny ściany nowocześniejszych domów, spokojni, pochłonięci swym życiem ludzie.

Wszystkie krytycy jednogłośnie chwalą stronę dźwiękową filmu. Ośmielę się przylączyć do tego chóru. Bardzo staranne opracowanie dźwiękowe „Życia raz jeszcze” wzbogaciło niesłychanie jego autentyzm. Ludzie, którzy pamiętają tamte czasy patrzą na film z rozrzewaniem: rzeczywiście tak było. To oczywiście dużo, ale niestety wciąż jeszcze za mało.

Film podobał mi się, bo brak w nim było propagandy.
— Podobał mi się, bo przypominał mi własne przeżycie.
— Dobry, bo człowiek siedzi w napięciu do końca.
— Wspaniała gra aktorska.

Tak przedstawia się w ogólnym zarysie problematyka odbioru filmu przez robotniczą widownię Łodzi. Badania tego typu mają również praktyczną wartość dla samej kinematografii. Pozwalają określić zapotrzebowanie społeczne na film, a więc wpływają w znacznej mierze na zadania stawiane przed branżą filmową. Lecz nade wszystko ukazują stan kultury filmowej w określonej grupie społecznej, stwarzając przesłanki do dalszego jej kształtowania.

Kto i co czyta

Warto przede wszystkim nadmienić, że wśród różnych form spędzania czasu wolnego przez łódzkich włóknarzy — czytanie książek zajmuje jedno z czołowych miejsc. Jak wykazują nasze badania, zainteresowanie książką jest wśród młodych włóknarzy (w wieku do lat 21) większe, niż niekiedy innymi, takimi jak: teatr, kino, gazeta. I wśród młodych włóknarzy książka wzbudza także niemałe zainteresowanie, aczkolwiek stawiają oni na pierwszych miejscach sport i kino. U starszych robotników czytanie książek nie zajmuje tak ważnej pozycji w czasie wolnym. Tu zaznacza się większe zainteresowanie gazetą i czasopiśmie. W każdym bądź razie i w tej grupie 43 osoby spośród 100 wymienili czytanie książek.

Powyższe fakty wskazują, że w obecnym okresie — przy stałym rozwoju tzw. środków masowego komunikowania różnorodnych treści kultury — czytelnictwo książek stanowi jedną z głów-

nych dróg łączących włóknarzy z dorobkiem kulturalnym. Ważne jest chyba i to, że czytanie książek jest formą wykorzystywania czasu wolnego, w której wyraża się większa lub mniejsza aktywność umysłowa. Występuje ona np. już przy poszukiwaniu i wyborze książki odpowiednio do zainteresowań, choćby nawet niezbyt głębokich, a później — podczas czytania oraz wysiłku nad pojmowaniem i wyobrażaniem treści słowa drukowanego.

I jeszcze jedna wstępna uwaga. Analiza zainteresowań włóknarzy tematyką różnego rodzaju książek rzuca pewne światło na funkcję, jaką książka spełnia w ich życiu.

Informacje o czytelnictwie 73 włóknarzy i 43 włóknarzy w wieku do lat 21 uzyskaliśmy przy pomocy analizy kart czytelnictwa w bibliotece przyzakładowej oraz rozmów z bibliotekarzami.

Należy nadmienić, że byli to tzw. stali czytelnicy. Przeciętnie na jednego czytelnika wypadało 2,5 wypożyczeń na miesiąc.

A oto zainteresowania tematyką książek wśród młodych robotników. Otóż większość (60%) wypożycza przede wszystkim romansy i książki obyczajowe pisarzy dawniejszych. Z twórczości Kraszewskiego bardzo poczytnymi książkami były: Hrabina Cosel i Chata za wsią; Żeromskiego — Dzieło grzechu i Wierna rzeka. Dość dużą popularnością cieszyły się niektóre książki Orzeszkowej, np. Marla, Nad Niemnem; książki Rodziewiczówny, a zwłaszcza: Dzwon i Lato leśnych ludzi.

Z dawnymi pisarzami obecnymi — z wyjątkiem Leona Tolstoj — Anna Karenina, Zmierzchu, Knitel — Miłość Sylwii; Du-

mas — cykl romansów; Stendhal — Pustynia Parmeńska. Na kartach czytelnictwa rzadko natomiast spotyka się nazwiska: Balzaka, Dickens.

Około 20 proc. dziewcząt, które już więcej czytały, interesowało się książkami pisarzy współczesnych. Wśród nich popularni byli zwłaszcza tacy pisarze: Dugat — Podróż, Camus — Obcy, Hemingway — Pożegnanie z bronią, Nalkowska — Granica, Sagan — Pewien uśmiech.

Wypożyczanie takich książek jak: Pamiątka z Celulozy, Kordian i Cham, Noce i dnie — zdarzało się wyjątkowo. Czy były zbyt realistyczne, odbiegające od osobistych marzeń dziewcząt — to pytanie, na które trudno odpowiedzieć.

Począł — mimo właściwego sobie liryzmu — pociągała bardzo słabo młode robotnice. Jak sądziłi niektórzy bibliotekarze, utwory poetyckie posługujące się przenośnią, symboliką, skrótem myślowym i innymi środkami wyrażania myśli i uczuć — były dość trudne dla czytelników. Tylko w nielicznych przypadkach wypożyczane były tomiki poezji takich poetów, jak: Mickiewicz, Asnyk, Konopnicka, Kasprzowicz.

Pewne zainteresowania u dziewcząt wzbudzały broszurki popularnonaukowe. Nasze czytelnictwo najchętniej sięgało po popularne poradniki medyczne, opracowania dotyczące rodziny, poradniki gospodarstwa domowego itp.

Zainteresowania czytelnictwa młodych włóknarzy różniły się dość wyraźnie od zainteresowań włóknarzy. Otóż u większości chłopaków dominowały zainteresowania powieściami historycznymi. Literaturo tego rodzaju wypożyczało około 60 proc. chłopaków. Spośród pisarzy najbardziej popularny był — jak

zawsze — Sienkiewicz. Trylogia stała się wypożyczalną, przechodziła z rąk do rąk. Dzieła takich pisarzy, jak: Gasiorowski, Przyborski, Kossak — Szeżucka, Bunsch, Hugo — wzbudzały również duże zainteresowanie.

Druga grupa chłopaków interesowała się szczególnie literaturą przygodową i sensacyjną. I tutaj wymienić by można szereg popularnych pisarzy — przeważnie obcych. Poszukiwane były również książki podróżnicze, batalistyczne z ostatniej wojny, wspomnienia obozowe, opisy walk partyzanckich itp.

Analiza czytelnictwa młodych włóknarzy i włóknarzy nasuwa pewne bardziej ogólne uwagi. Podkreślić trzeba, jak się wydaje, rzecz najważniejszą — to dość wyraźne zainteresowanie książką, przywiązanie do niej, wyniesione zapewne z murów szkolnych, rozbudzone przez bibliotekę, wyrastające z wewnętrznych potrzeb, marzeń i dążeń. Widać też z jakim dorobkiem kulturalnym czytelnictwo wiąże młodzież, o której tu mowa. Otóż młodzież ta czytała przede wszystkim utwory literackie ukazujące życie ludzi w czasie, przeważnie już odległym — obyczaj, dzieje miłości, niezwykłe przygody, egzotyka, bohaterstwo jednostek i ważne wydarzenia historyczne. Spostrzega się przy tym duże różnice w zainteresowaniach dziewcząt i chłopaków. Dziewczeta interesowały najbardziej: obyczaj, dzieje miłości, zwłaszcza te, „która się dobrze kończy”, sprawy rodzinne. Chłopcy zaś — wydarzenia w dziejach własnego narodu, a zwłaszcza walki zbrojne, poświęcenie dla ojczyzny, przygody i podróże.

Jak pogłębiał i rozwijał występujące wśród młodych włóknarzy i włóknarzy zainteresowanie do czytania, które

rowało zainteresowania czytelnictwa nie tylko do wysokich zaletach artystycznych, ale i społecznych, a także do literatury współczesnej, w naszym kraju — oto jedno z ważnych zagadnień w zakresie oddziaływania na młodzież.

Obserwacje nasze wskazują, że placówki kulturalno-oświatowe — biblioteki, domy kultury i kluby fabrycz-

ne — przywiązują dużą wagę do upowszechniania czytelnictwa wśród włóknarzy. Jedną z form jest także organizowanie spotkań z autorami. Widać jednak potrzebę dalszego podnoszenia roli bibliotek i ich spraw w środowiskach pracy, zapewniania im lepszych warunków lokalowych, środków na zakup nowych pozycji, zwiększenia liczby pracowników bibliotek i umacnianie ich pozycji społeczno-zawodowej.

SPEKTAKLE tygodnia

POLONIA		FILM	
ZACHĘTA	„Olbrym”, 21 seansów	8.737 widzów	
	„Skarb w Srebrnym Jeziorze”, 35 seansów	8.598	
NOWY		TEATR	
	„Pan Goldbach”, 3 spektakle	2.100 — 100%	
	„Wiek i Wacek”, 3 spektakle	1.700 — 80%	
	„Marie Octobre”, 1 spektakl	800 — 75%	
NOWY			
Mala Sala	„Drewniana miska”, 1 spektakl	200 — 100%	
	„Indyk”, 1 spektakl	200 — 100%	
JARACZA			
	„Wieczór Trzech Króli”, 3 spektakle	1.300 — 100%	
	„Ostatnia stacja”, 4 spektakle	2.700 — 100%	
	„W pustyni i w puszczy”, 4 spektakle	2.700 — 100%	
	„Kto uratuje wieśniaka”, 2 spektakle	1.300 — 100%	
POWSZECHNY			
	„Dziady”, 2 spektakle	1.336 — 100%	
OPERA			
	„Legenda Bałtyku”, 1 spektakl	711 — 100%	
	„Manon”, 1 spektakl	711 — 100%	
	„Rycerskość wieśniacza”, 1 spektakl	639 — 100%	
OPERETKA			
	„Czarujący Giulio”, 6 spektakli	3.823 — 87%	
7.15			
	„Pani Prezesowa”, 4 spektakle	1.417 — 80%	
	„Przygody dzielnego wojaka Szwajka”, 3 spektakle	741 — 58%	
FILHARMONIA			
	Koncert symfoniczny — dyrygował Gerhard Flöger z NRD	2 koncerty	850 — 90%
ESTRADA			
	Rewia Iluzji w Hall Sportowej, 7 spektakli	27.715 — 50%	

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

„LEGENDA ŻEROMSKIEGO”

Studium Stanisława Ellego o recepcji (to brydka recepta) i wyobrażeniu recepcji hotelowej, czy nie lepiej używać słowa — poczytność lub nawet — odbiór? Twórca „Legenda Żeromskiego” dzieli się na dwie części: pierwsza obejmuje lata 1892—1914, druga — twórczość wielkiego pisarza w latach 1914—1926 w Polsce niepodległej. „Legenda literacka” według Juliana Krzyżanowskiego „jest produktem odruchowego, doświadczonego, nieprzemysłowego i precyzyjnie nie sfornowanego sądu krytycznego, jego rozwinięciem i uzupełnieniem przez grupę ludzką, którą łączy sto-

sunek uczuciowy do dzieła, która ten sąd wywołano. Uznać by ją można, za zbiorowy sąd krytyczny, socjalny odpowiednik sądu indywidualnego, wyrażonego przez jednostkę cieszącą się autorytetem i autorytetem ten narzucającą pewnej „obiektywności”. Stanisław Ellego zestawia wypowiedzi krytyków, recenzentów, publicystów, głosy pisarzy, filozofów i socjologów i na cytatach wyjętych z recenzji, listów itp. demonstruje, jak od pierwszych opowiadań, a następnie od „Popiołów” powstawała w społeczeństwie legenda o Stefanie Żeromskim jako „wodu ducha” — twórcy się integrującej polskiej, a później — „rewelatorze prawdy metafizycznej”, romantycznym wieszczu i „ostatnim Wajdelocie” według określenia Ujejskiego. „Praca Stanisława Ellego jest nieco zmienioną wersją rozprawy doktorskiej i autor tylko w krótkim wstępie formułuje własny pogląd i mówi „od siebie”, komentując się w pozostałych partiach studium tylko zestawieniem i referowaniem opinii literaturoznawców, krytyków i in-

co nadaje książce trochę szkolniskiego charakteru. Niemniej, dzieło wyczerpujące, do przedstawienia bardzo licznych cudzych sądów o każdorazowym utworze Żeromskiego (a każdy prawie był wydaniem i wywoływał powód sprzeciwu) opinił otrzymujemy niezmiennie interesujący i bogaty obraz tego, co jest — socjologicznie biorąc — nie tylko odbiorem dzieła Żeromskiego przez fachową opinię, lecz co nazwałbym również — historią recenzji o utworach Żeromskiego. Każdy pisarz przechodzi „wycinki” z gazet, w których pojawiały się recenzje o jego książkach. „Legenda” nazwałbym takim właśnie interesującym albumem recenzji, który czyta się jak pasjonującą powieść historyczną.

LEKTOR

Stanisław Ellego, „Legenda Żeromskiego”, Wyd. Literackie, Kraków, 1963, str. 343, zł 38.

„ŻYCIE ARSENIĘWA”

Laureat nagrody Nobla (1933) Iwan Bunin, pisarz, który po Rewolucji Październikowej wyemigrował

za granicę, był tylko formalnie związany w czasach swej młodości z grupą Gorkiego; w rzeczywistości, zarówno swym apolitycznym stosunkiem do rozgrywających się przed Rewolucją wydarzeń, jak również upodobaniami estetycznymi, przebiegał sięku schyłkowej ówczesnej cyganerii. O powieści Bunina „Życie Arseniewa” wyraził się Jarosław Iwaszkiewicz, że autor z wygnania maluje świat „nie bardzo wartościowy”, ale przez miłość do zaginionych form nadaje im poetyckość umierającego światła. To głęboka prawda. Bunin pochodził z zubożałej rodziny ziemlańskiej; jak bohater powieści „Znamienitego” acz podpadłego rodu. Proza „Życia Arseniewa” znakomicie, ani słowem, aczkolwiek stosunek bohatera (autora) — gdyż utwór ma wszelkie znamiona powieści autobiograficznej) do ówczesnej rzeczywistości w carskiej Rosji może się chyba wydać niedłemu czytelnikowi drażniącym. Drażni, mimo to, wymusza państwo w stosunkach międzywielkich, państwo, które autor nie tylko nie ukrywa, lecz „daje się” nie szczepić, Zeby nie być goło-

stowym; parę przykładów: (W cerkwi) „Jestem na samym przedzie przed wszystkimi... kapłan po nabożeństwie nam pierwszym podaje do ucielenia pachnący miedzią krzyż i kłania się przy pochlebie” (strona 34) „...wśród ludzi, których ja, panicz, uważałem oczywiście za coś znacznie niższego” (str. 81). Takich przykładów można by wskazać więcej.

W. R.

Iwan Bunin „Życie Arseniewa”, Wyd. Czytelnik, 1963 r., str. 431, zł 25.

„PIANOŁE”

Trzecia powieść Henri François Reya „Pianołe” przyniosła autorowi w 1962 roku paryską nagrodę Interalli. Bohaterami jej są ludzie dobrze sytuowani i bogaci, którzy przebywają w pięknej miejscowości hiszpańskiej porcie Caldeya. Ludzie ci szukają tam zapomnienia i ucieczki od droczących ich kompleksów, lęków i obsesji w alkoholu i erotyzmie. Życie ich koncentruje się w nocnym lokalu „Estrella”, który — jak słusznie zauważyła Anna Villelaurec recenzując „Pianołę” w

„Les Lettres Françaises” — jest „hodowlą bakterii”, gdzie istnieją sprzyjające warunki do obnażenia postaw moralnych i filozoficznych ludzi typu Renier, Vincent, Jenny i inni im podobni. Myślby się jednak ten, kto by sądził, że Rey w swojej powieści demaskuje tylko postawy bogatych zblazowanych próżniaków. Ambicje autora są szersze. Ustawał on wyznaczać, że nerwice (nazwijmy to tak), ujawnione w ich całej groźnej i niszczącej sile u bywałców „Estrelli”, drzmą w stanie utajonym w każdym człowieku. Wspomniana recenzentka „Les Lettres Françaises” wyraża zdanie, że autor tej młodych co Rey, pozwolił sobie na wprowadzenie do swej powieści postaci Pinero, w którym każdy łatwo może domyślić się osoby sławnego w całym świecie genialnego malarza. Powieść napisana jest ze świetną znajomością rzemiosła i przedstawia niemałe trudności dla przedłożycy. Tłumacz Julian Rogoziński wyszedł z nich zwycięsko.

Henri François Rey „Pianołę”, Czytelnik, 1963 r., str. 561, cena zł 33.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Wizja ludzkiej dżungli, komedia naturalistyczna o magli pieniądza, tak, i słusznie określi „Volpone” Jonsona we wstępie do spektaklu TV. Konstanty Puzyna. Notatka biograficzna: Ben Jonson, znakomity poeta dramatyczny Anglii (urodzony w Westminsterze 1573, zmarły w roku 1637) współczesny Szekspierowi. Trzeba pochwalić teatr TV za trafny wybór komedii z okresu elizbietańskiego. Żywa akcja, ostro zarysowane charaktery, soczystość dialogu, wszystko to świetnie nadawało się do przeniesienia na mały ekran. W rolach głównych Volpone o Moski wystąpił Jan Swiderski i Edmund Fetting. Onaj doskonale rozegrali swe trudne kreacje.

WTOREK

Na duże brawa zasługuje pierwszy program Teatru Studentów „Pro Arte” przy Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej im. L. Schillera. Też socjalni absolwenci wybrali interesujące choć niełatwe „Pamiętniki Pana Boga” Giovanni Papiniego w adaptacji Waldemara Wilhelma. Wszystkich czyno- wykonawców, którzy dali się już poznać z najlepszej strony w „Korducie” Drowskiego, towarzyszący się indywidu- alności aktorów: Potrafil oni wykorzystali pasję polemiczną Papiniego, dającą dużo pola do popisu. Na uwagę zasługuje również zgrabna adaptacja i reżyseria Waldemara Wilhelma.

ŚRODA

„Wielka i urzekająca rola Bohdana Majdy... Czasem, choć z rzadka dalekim, ale upartym echem przypomina się styl i maniera Eichlerówny (Jan Paweł Gawiłk, „Życie Literackie”). ...aktorstwo Bohdana Majdy znakomite” (Andrzej Jarecki, „Standard Młodych”). „Bohdana Majda okazała piękny talent i wybitne umiejętności aktorskie” (August Grodzicki, „Życie Warszawy”). „Widujemy Majdę w wielu rolach... Jest dla mnie rewelacją odkrycie w niej tak nieprzeciętnej tragizacji” (Jerzy Zagórski, „Kurier Polski”). Oto, na ekrany trafił wybrany opinie recenzentów o grze Bohdana Majdy w „Radosnych dniach”. W Łodzi było trochę inaczej. Nasi recenzenci wyrażali się znacznie wstrętniej. Ano, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Po laury jedździ się do Warszawy albo do Paryża. Tylko jeden Wasz Arystarch miał odważę zdobyć się w „Radosnych dniach” — kreacja,

CZWARTEK

Drzewa uginające się pod naporem wichury, drzewa powalone przez burzę, drzewa umarłe wyrwane z korzeniami z ziemi, drzewa patelniczne w cierpieniu i śmierci, drzewa przeważnie odarte z liści, oto tematy pierwszych piętnastu planów fotograficznych Adama Idzińskiego w salonie BWA, ul. Piotrkowska 102. Te plany, widoczne z ulicy przez witryny, przydają się zainteresowanych widzów, którzy podążają dalej, żeby w głąb lokalu BWA podziwiać i kontemplować obrazy późnych, mrocznych pogody, słońca na parkanie, wsi, orki. Wystawa ciekwa się powodzeniem, jak rzadko która ekspozycja plastyczna. W tzw. księdze uwag można wyczytać entuzjastyczne opinie: „Wystawa fantastyczna! Gratuluję”, albo: „Teraz WRN będzie niewypałem, tak, jak był nim konkurs PRN m. Łodzi, na który poskąpiono pieniądze na zaproszenie literatów.

PIĄTEK

Czy zwrócił się państwo uwagę na powódz konkursów. Jednym z bardziej atrakcyjnych jest konkurs pomorski na powieść z nagrodą 50.000 zł. Bazaletal Również Kiełce zamierzała pociągnąć konkursywal dla zapowiadanego konkursu WRN w Łodzi. Wśród pisarzy łódzkich wielu jest związanych z Kiełcami. Piszę więc, raz jeszcze doradzając, żeby WRN Łódź nie skąpiła pieniędzy na zaproszenie pisarzy imienne, bo coś mi się wydaje, że konkurs WRN będzie niewypałem, tak, jak był nim konkurs PRN m. Łodzi, na który poskąpiono pieniądze na zaproszenie literatów.

SOBOTA

W 1904 r. Wiesław Jażdżyński zdobył pierwszą

nagrodę w konkursie literackim Ziemi Kiełceńskiej za powieść „Świątki polonez”. Powieść ukazała się niedawno. Zaczyna się ona od powrotu bohatera, Justyna, z drugiej wojny światowej, przez jej ma- smak wspomnień, chociaż powieść nie jest utworem autobiograficznym. Jest to dobra proza, zwięzła, zamaszysta, nie pozbawiona humoru. Ale widzę, że zaczynam pisać recenzję, która wszak już napisał Jan Koprowski w poprzednim numerze „Odgłosów”. Przypominam więc tylko o „Polonezie”, który szybko znikną z półek księgarskich.

NIEDZIELA

Nasza uwaga przechodzi nierz obojętnie obok działalności instytucji finansujących i organizujących życie kulturalne. A ważny chociażby taki Związek Włóknarzy! Związkowi temu trzeba przypisać inty- elatywe utworzenia Międzyzakładowych Domów Kultury w Łodzi. Jest ich czterech: na Przedzaimanie, na Buczka, na Siedleckiej i na tych MDK może się czymś pochwalić. MDK na Buczka i na Siedleckiej

prowadzą dobry popularny „Chór słowików” łódzkich. MDK na Przedzaimaniej opiekuje się 400-osobowym chórem Włóknarzy. MDK na Piotrkowskiej utworzyło swe podwoje dla ekspozycji malarstwa (ostatnio gościła tam Galeria 20), zaś latem zostanie otwarta w ogrodzie estrada dla zespołów amatorskich. Ponadto Związek utrzymuje kontakty ze Związkiem Literatów i Plastyków W najbliższym czasie zostanie ogłoszony konkurs na obraz „Człowiek współczesny”. Cieszy nas ta działalność kulturalna Mocna Sztuki, jakim jest polski Związek Włóknarzy! Prosimy jeszcze o więcej i częściej zasłusze i pracy!

ARYSTARCH



KONIEC Z SHERLOCKIEM HOLMESEM

Bolek Barnaba dobrym był kumplem dopóki jako piszczałczar w hucie szkła wydmuchiwał butelki i wciągał na śniadanie suchy chleb zapiany fabryczną mietlą. Wtedy był dobrym kumplem, lubianym przez całą fajerę z podwórka. Bywało zwróciłeś się do Bolesia o dwa złociszki — a on już buł. Spytałeś co pali? — a on już podsuwa „Junaki”. Jedynym słowem swój chłopak i szczerą duszą, tylko, że jak przyszło do chłastania to cholernie drefit. Ale lubiliśmy Barnabę, bo był szczerzy i trzymał fason.

I gdyby wtedy ktoś choć mamy pytel puścił o Barnabę, mordę miałby skutą na amen. A jednak?... A jednak?... A jednak?...

Gdzieś około Wielkanocy rozniósł się nagle, że Barnaba kiwnął hucę, ale gdzie się zawiesił — nie wiadomo. Dziwilo nas to bardzo, bo fabryki szły trzy dni w tygodniu i kruczo było z robotą. Podobno widziano go w krawadzie — raz na Piętnie, drugi raz wieczorem w Alejach Kościuszkich. Ruda Fela twierdziła nawet stanowczo, że Barnaba „wystrzelił” się na tajniaka od złopienia niemeldowanych

prostitutek. Byliśmy zdumieni i zaskoczeni. — Bolek Barnaba tajniakiem? W pilśniaku?... Jasna cholera! Tego by jeszcze brakowało. Jednak jak się wkrótce okazało Ruda Fela miała rację. Barnaba został „burkiem” i okrył się hańbą całego podwórka. Niektórzy nawet wymijając Barnabę spliwali, a Józek Phuciennik obiecał nawet, że śnupe odrzaska Barnabę, gdy spotka go po pijanemu. O, nieładnie po frajersku postąpił Barnaba dając się wciągnąć w tajniacką hecę. Ze robotą piszczałczarza przy wannie w hucie szkła jest cholernie wyczerpująca — to prawda, ale przecież nie tylko w hucie, bo i na kłalni i salfaktorach natyrać się trzeba, że hej! Oj, haniebnie postąpił Barnaba. Nie klawo. A dobry był chłop i często przychodził do małej po książki, bo mieszkamy obaj w jednej oficynie, na drugim piętrze.

Przez pewien czas sądził się, że Barnaba zalał się i spokornieje, widząc że stronił od parszywca, ale on jak gdyby nie — przechrząknął obok nas dumnie w tym swoim zasranym pilśniaku i uśmiechał się ironicznie, a raz to nawet szczerzał się. — Serwus chłopaki — kiwaki. — No i wreszcie nadszedł czas, że całkiem zhardział, a nawet zaczął się zgrywać i odgrażać „kominiem”, z którego w czasie Rezurekcji wystrzelił na podwórzu z dwadzieścia naboi, budząc przestach i zachwyty nabożnych sąsiadek. Tajniak cholera!

— Ty Ciesiu teraz z nim nie przystawaj i o niczym nie gadaj, ostrzegala zmianę na popołudniową zmianę w grohmanowskiej kłalni. Ja wtedy siedziałem w domu na zapomocze i pomagałem żonie w przygotowaniu posiłków, kiedy była w robocie. Dziś miałem przysposobić na kolację — do nastawionego zsiadłego mleka — kilkanaście ugniecionych ziemniaków, żeby były świeże jak moja wróci z fabryki. Miałem więc do wieczora sporo czasu, zabrałem się do ukończenia „Głodu” — Hamsuna, a później pod wieczór do przepisywania z wypraczonego maszynopisu — (by krażył w odpisach) „Komuny Paryskiej”. Rozstrzelano trzydzieści tysięcy — sto tysięcy zakuto w lańcuchy. Krwi, ani sił już nie ma więcej, Paryż zmarniwa i głuchy — przepisywałem drzącą ręką i ze ściskającym sercem, gdy nagle skrzyknęło i w drzwiach ukazał się... podgazowany Barnaba.

— Co ty mówisz? — zdumiałem. — Rzeczywiście staruszkę nie widuję już od kilku dni, za to Barnabę coraz częściej schlanego na amen. Podobno wczoraj — powiedziała Krzyzmonikowa — zarzygał całą sien, a śmierzdziało jak z wychodka. A taki był porządny chłopak, gdy pracował w hucie, co? Wandziu?

— W każdym razie Ciesiu unikaj go jak ognia — ostrzegala żona, udając się na popołudniową zmianę w grohmanowskiej kłalni. Ja wtedy siedziałem w domu na zapomocze i pomagałem żonie w przygotowaniu posiłków, kiedy była w robocie. Dziś miałem przysposobić na kolację — do nastawionego zsiadłego mleka — kilkanaście ugniecionych ziemniaków, żeby były świeże jak moja wróci z fabryki. Miałem więc do wieczora sporo czasu, zabrałem się do ukończenia „Głodu” — Hamsuna, a później pod wieczór do przepisywania z wypraczonego maszynopisu — (by krażył w odpisach) „Komuny Paryskiej”. Rozstrzelano trzydzieści tysięcy — sto tysięcy zakuto w lańcuchy. Krwi, ani sił już nie ma więcej, Paryż zmarniwa i głuchy — przepisywałem drzącą ręką i ze ściskającym sercem, gdy nagle skrzyknęło i w drzwiach ukazał się... podgazowany Barnaba.

— Ręce do góry! — krzyknął — mierząc do mnie „kominiem”. Spojrzałem wystraszony, lecz uśmiechałem się do niego. — Aleś odegrał Sherlocka... Niech skonam... Barnaba...

— Tylko nie Barnaba! — ryknął, podskakując do mnie — bo mordę skuję i nie będzie więcej szczerzał żem kapuś, śmierzdział, burek i łajza... Zrozumiałeś?... Ja ci pokazę szpicla. Ja ci zorganizuję „komórki” — zdrągał eo ojczyzny. Zgnoję cie, Zetrę. Kapujesz?

— Boleś, co ty? — jęknąłem wystraszony, podnosząc się z

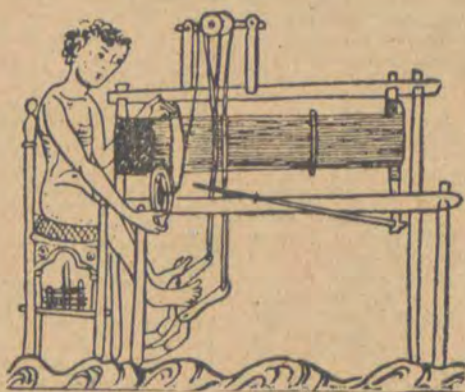
krzesła. — Głoda ci padła ma um, czy jak? Usiądź, schowaj komin, pogadamy. Barnaba, słyszysz?... Ale on, z wycelowanym rewolwerem przybliżył się powoli do mnie, a biały był jak kreda. Ugięły mi się nogi, gdy palcem poruszyłem przy cynglu. — Boleś, kurwa! Co ty? Chory jesteś, czy jak? A on do mnie kiwnął się na rozkazanych gicłach: — Oddaj bibułę, oddaj bibułę — groził zgarniając mi ze stołu niedokończony poemat oraz leżące obok książki: — „Głód” i „Śmierć na gruszy”. Onle miałem, a Barnaba z wycelowaną ośmiemką podprowadził mnie do łóżka i przyciskając mi zimne żelazo nad uchem — wygarnął. Blysk, huk, dym... On dawno już wyskoczył, ale ja stałem jak sparaliżowany prądem. Wreszcie ocknięty, ocierając zimny pot z czoła westchnąłem. — Ach ty łachudro, pajacu, moczygobo. Tyle strachu przez wodę i twój zakuty łeb. Czekaj już ja cie urządzę jutro, kapusiu. Strzelać ci się zachciało w mieszkaniu u Czeska Szczesniaka? No, zobaczmy, karaluchu...

Kiedy już jako tako przyszedłem do siebie, rozpalilem w piecu ogień i wstawiłem garnek z ziemniakami. Był najwyższy czas, bo syreny fabryczne otrąbiły już godzinę dziewiątą.

Pykotało w garnku, gdy weszła żona, z białymi centkami bawelnymi we włosach. — Co za smród w mieszkaniu? — Ciesiu? — zapytała, na wstępie, pociągając nosem. — Przypaliłeś krzofle? Dym? Kanichlorek? Siarka? Coś tu robił? Kto tu był? Gadał!

— Wandeczko — usprawiedliwiałem się, ugniatając palką nie dogotowane ziemniaki. — To nie siarka, to nie kanichlorek. Barnaba był. Zachlany. Odegrał Sherlocka i strzelił mi nad uchem, Wandeczko.

— O Jezu? — krzyknęła. — Przecież mógł cię zabić.



— Mógł. Ale zagarnął tylko Broniewskiego, Hamsuna, i „Śmierć na gruszy”.

— A ty?

— Pogadam z nim jutro na mię.

— Na mię? A w mordę śmierzdziała.

— Był schlany.

— On co dzień schlany. Za krzywdę ludzka. Za kuchty bezdomne. Za kurwy nierejestrowane. Trzeba było strzelbę odebrać i za drzwi szpicla wyszmajnać. Słyszysz? Chodziła po mieszkaniu zdenerwowana, gdy ja tymczasem wykładalem z garnka ziemniaki na talerze. Usiadła do stołu, ale ledwie dotknęła krzesła podskoczyła jak ze szpilek. — Przecież on strzaskał nam portret ślubny, Czesławie. Widzisz? Spojrzałem za jej głonią. Rzeczywiście na ścianie ponad łóżkiem wisiał nasz kolorowy portret ze zbitym szkłem. Pewnie jak rąbnął mi nad uchem kula strzaskała szkło. Wystraszony nie zwróciłem na ten drobny szczegół, ale dla żony było to wstrząsające przeżycie. Mógł przecież krapnąć mnie, to prawda. Ale portret? Ślubny? Kolorowy?...

— Ja tego nie daruję, łobuzowi — wrzeszczała wzburzona tupiąc nogami i zanim się spostrzegłem chwyciła ze stołu butelkę z kawą nie dopita w fabryce i wyorysowała jak ryba z ukropu na korytarz, a ja za nią, worost do rozwalonych drzwi Barnaby. W mieszkaniu pyłowała już żona. Zaczaiłem się za przezierzeniem, słuchając zdumiony jak z naglej pasji przeszła do lirycznego tonu.

— Pan już w łódeczku, panie Boles? Tak? Ale to pewnie pan był dzisiaj u nas, prawda? — dopytywała się, pobrzaskując w świetle naktówki butelką.

— Byłem, pani Szczesna — wydukał przerażony Barnaba, unosząc się na łóżku.

— I najpierw pan Boles ze strzelby do męża, tak? A

później pan Boles zagarnął te książki, tak?

— Książki pożyczylem, pani Szczesna, a z ośmiemki to tak tylko dla pucu, pani Szczesna — jakal się Barnaba, wpatrzony w tajemniczą butelkę.

— A nasz portret ślubny? Kto strzaskał, panie Boles? — dopytywała, przyskakując do łóżka? — A czy panu wiadomo, panie Boles, że za butelkę nie ma kodeksu karnego. Co? No jak? Wiadomo, czy nie wiadomo? Bo jak ja pana Bolesia urzadzę to do usranej śmierci będzie Boles pamiętał — groziła potrzaskując butelką.

— No, wiadomo, wiadomo, pani Szczesna, szczerzał zębami wystraszony Barnaba. — Ale niech pan już tę butelkę...

— To niech Boles przeprosi matkę i niech się weźmie z powrotem do uczciwej roboty. My wszyscy tyramy ciężko, ale nikt oficynie wstydu nie przynosi. Zrozumiano? A teraz dajno, panie Boles, tę swoją strzelbę, tylko przedaj, bo jeszcze nie jadłam kolacji... Gdzie ona?

— Pod poduszką, pani Szczesna, pod poduszką. Ale niech mi pani tą butelką...

— I to z tego główna strzelał Boles do naszego portretu? — dopytywała zdumiona, przechodząc obok mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Widziałem jak drżącą ręką trzymała ośmiemkę w dwóch palcach, przeornie zwróciła lufą do dołu. No i wyszła na korytarz. Ja za nią. Ona po schodach na dół. Ja za nią. Kiedy jednak na podwórzu skierowała się w stronę drewnianej ubikacji — wróciłem na górę.

Za chwilę ukazała się w drzwiach — uśmiechnięta. — No, i po Sherlocku Holmesie — powiedziała mijając ręce, po czym zasiadłszy wspólnie do wystygłej kolacji. Zarem łapczywie, ale żona wciąż spoglądała na strzaskany portret. Na nasz portret... Ślubny... Kolorowy...



(Materiał ikonograficzny z Muzeum Włókiennictwa)

Lewym
okiem



KRĘĆ SIĘ, KRĘĆ, WRZECIONO...

W zamierzonych czasach, gdy samolot nazywał się jeszcze aeroplan a zamiast do lina chodzono się do iluzjona, czytalem humoreskę o wynalazcy, który produkował cieniutkie i zwicenne tkaniny z promieni kosmicznych. Tkaniny były przepiękne, tyle że uległy wpływom zmian kosmicznych. Gdy pełni zaczynało ubywać — niestety też w oczach szafki na wdziecznych ciach pań. Dalszy ciąg humoreski był już ze zrozumiałych powodów — latwy do napisania.

W parę lat później, gdy Niemcy zaczęli w ramach swego programu uniezależnienia się od importu produkować na skalę masową tkaniny z różnych włókien polakrylowych, brzożowych i innych, śmiały się „Muchy” i „Cyrułiki”, że przemiarę na frak robić będzie ten sam fachowiec, który robi przemiarę na trumnę — mianowicie stolarz. „Sek mi na plecach wypadł!” — mówiła dama do swego partnera, który z kolei skarcił się, że mu nogawki niedokładnie oheblowano.

Włos w krótkim okresie abisyjskich samolej wymyślił węgę z mleka, czym zachwycił się także nasi domorośli autarkici. Nie bardzo wiem, czy mieliśmy naprawdę nadmiar mleka, masła i tych rzeczy. Myślę, że w tym lepszym pomysł

dysproporcja nakładu do wyników była oczywista, co tak jak z tą czterokonną maszyną do gaszenia świecy. Mleko zostawmy dzieciom, a masło nie mówię, bo cholesterol i wskaźniki.

Najwięcej natomiast zdrowej myśli postępowo-technicznej wykazał Mickiewicz, każąc jednemu ze swych balladowych bohaterów posługiwać się biciami z piasku. Proszę bardzo: z piasku robi się szkło, a ze szkła robimy włókna — właśnie na bice, na różne skarżyny techniczne, niedługo przyjdzie kolej i na luksusowe toalety dla pań i panów. Temat do humoreski, co? Toalety ze szkła, nie tracaj bo pełonie, wszystko widać i te de? Nie, nie ma się z czego śmiać. Robimy talcie tkaniny.

Ze szkła, z węgla, ze słomy, czasem także z poczciwej wełny i sprrowadzanej z daleka bawełny. Wszystko się już popłatało, nie rozróżniasz, gdzie kończy się chemik, zaczyna włókniarz, gdzie krawiec, gdzie mechanik obsługujący taśmę konfekcyjną, gdzie koniec magli a początek nowoczesnego przemysłu. Do legendy przechodził postać zgarbionego szewca z ustami pełnymi drewnianych szpilek, które wbił w zelazki od rana do nocy. Od tego szewskiego stykanka ponoć wzięło swój początek powiedzenie „Idępać biedę” — bo klepanie szewców słyszeć wszyscy bez przerwy, a ich biedę widzieli także.

Dziś buty kleją się same na wielkim kole, przy pomijającym łunaparciu, albo pieką się w piecu jak pączki — wychodzą gorące i gotowe. Szewc jest jegomościem w białym kłtka, chodzącym z łupą i sawakiem w kieszeni wzdłuż długiej, postawiającej się wolno i z hłasem taśmy.

Naturalnie nie zawsze tak jest, i nie tylko tak. Przepracowałem parę lat w niemieckiej przedziałni.

Mówiło się: leśka-praca, dla kobiet, dla dzieci. To właśnie przemysł przedziałniczy uosowił się haniebnie w dziewiętnastym wieku zatrudnianiem dzieci od sześciu lat! Ale jak byście tak spróbowali pobiegać za selfaktorem przez dwadzieścia godzin — trzy kroki w przód, trzy w tył, paręset wrzecion do obsługi, w tył — w przód, to byście nie mówili o lekkości. Selfaktory — przepraszam, samoprzążnice włókowe — jeszcze jeżdżą tu i ówdzie, jeszcze biegną za nimi dziewczęta i kobiety. Niedługo i to przejdzie do lamusa. Unowocześniamy nasz przemysł włókienniczy, coraz do nowszych surowców przerabiamy na coraz doskonalszych maszynach i urządzeniach w coraz piękniejsze tkaniny, po to, aby z kolei przemysł odzieżowy ubierał nas w coraz wdzieczniejsze stroje.

Pracuje nad tym olbrzymia armia ludzi. Spotykacie ich co dzień w zatłoczonych tramwajach, śpieszących się, często zmęczonych, nie zawsze uśmiechniętych. Nie chcemy już mówić o Łodzi, że jest polskim Manchesterem. Tak samo można by przecież powiedzieć, że Manchester jest angielską Łodzią. Jesteśmy wielkim słupiskiem poważnego przemysłu, wielkim — że użyję żeromszczyzny — „pracowiskiem” włókniarzy. Jeszcze — jak twierdzi archeolog — nie znano wozów na kołach, a już przedronie i tkanie było starym zawodem. Stary, parę tysięcy lat liczący, godny zawód, związany przecież z zaspokojeniem jednej z najpierwszych potrzeb człowieka: ubraniem. To na cześć przadek, włócz, garbarzy, szewców, krawców, odzieżowców, obuwników, kuśnierzy chcielibyśmy właśnie zabrać głos z okazji Święta Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego. Dziękuję.

©WWEK